MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr. 53. WARSZAWA, 8 GRUDNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZBĘDNA ZOOLOGJA

PRZEMÓWIENIA członków Rządu posiadają szczęśliwą właściwość, że budzą zainteresowanie bez względu na głębię i oryginalność poglądów, które są w nich zawarte. Jakiekolwiekby były, przemówienia te zachowują cenność dokumentu historycznego, świadczącego o poziomie umysłowym i obyczajowym ludzi, którzy są u władzy, a tem samem ułatwiającego wogóle zrozumienie życia politycznego kraju i warunków, w jakich się ono kształtuje. Nic dziwnego przeto, że pomysły ideologiczne, które zapewne nie wywołałyby poważniejszego zaciekawienia, gdyby znalazły się w artykule dziennikarskim lub przygodnej mówce agitatora, w oświadczeniu ministra nabierają wagi zgoła odmiennej, zaczynają zasługiwać na rozbiór szczegółowy i możliwie najbardziej wszechstronne omówienie. Nawet drobny przyczynek w tej dziedzinie nie będzie też może bezwartościowy, zwłaszcza jeśli dopomoże do wyjaśnienia, w jaki sposób formuje się ideologja obozu, dzisiaj rządzącego, w zakresie najbardziej zasadniczych pojęć o Narodzie.

W starannie opracowanem, wielkiem przemówieniu programowem, wypowiedzianem w Wilnie dn. 28 listopada r. b., p. minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego Czerwiński oświadczył, między innemi, co następuje:

„Czyż można się dziwić, że do pojęć części tej młodzieży (akademickiej, przyp.) najłatwiej przemawia zoologiczny nacjonalizm?"

Że do „części" młodzieży akademickiej (jak w chwalebnej trosce o dokładność wyraził się p. minister) przemawia nacjonalizm, jest faktem oddawna ustalonym, jak dalece zaś ta „część" właśnie ma przewagę nad wszystkiemi innemi, stwierdził sam p. minister Czerwiński, odrazu już w rozumowaniach swych przyjmując stanowisko, że wszystkie jej pozostałe „części" mogą tylko być... „skromną mniejszością". Interesujący jest natomiast w przytoczonym ustępie przymiotnik „zoologiczny", wskazujacy, że — w opinji p. ministra — nacjonalizm właśnie jest postawą psychiczną, upodobniającą człowieka do... zwierzęcia, sprowadzającą typ życia duchowego istot ludzkich na poziom... zoologji.

Rozważania na temat życia duchowego zwierząt z tego względu są zawsze zawodne i niebezpieczne, że niemożliwe jest posługiwać się w nich, tak ogromnie w badaniach psychologicznych użyteczną, metodą introspekcji. Tem nie mniej można zgodzić się w sposób ogólny, że niektóre cechy psychiki zwierzęcej występują całkiem wyraźnie także w stosunkach międzyludzkich i wywierają wpływ na ich rozwój. Obserwowane u psów ślepe, bezmyślne przywiązanie do „pana", który bije i kopie, lecz daje żarcie, niejednokrotnie w życiu społeczeństw ludzkich staje się siłą, która wpływa bardzo poważnie na bieg ich dziejów. To „zoologiczne" (psie) przywiązanie występuje najjaskrawiej w społeczeństwach wschodnich, zwłaszcza w stounku do dowódców, jak to we wstrząsającym obrazie pokazał Mickiewicz w „Przeglądzie wojska", gdzie chłop — ordynans niewolniczo oddaje życie swoje w prezencie oficerowi — „do śmierci wierny, jak sobaka"...

Żeby jednak dopatrywać się u zwierząt istnienia cywilizacyj narodowych, niezbędnych dla powstania nacjonalizmu, wydaje się hypotezą stanowczo zanadto śmiałą i niedość uzasadnioną. Weźmy np. świnię — czyż możemy zauważyć u niej już nie na-

cjonalizm, ale ślady chociażby najsłabsze jakiegokolwiek uczucia czy świadomości narodowej? A umysłowość takiego np. osła, czyż nie sprawia nieodparcie wrażenia najzupełniej wolnej od wszelkich nacjonalistycznych „przesądów“? [1]).

Nawet w tych społecznościach zwierzęcych, które nazewnątrz do pewnego stopnia przynajmniej przypominać mogą państwową organizację społeczeństw ludzkich (pszczoły, mrówki, termity), bliższe zbadanie rzeczy doprowadza do stanowczego wniosku, że „to, co u zwierząt nazywamy państwem, jest tworem zbudowanym na odmiennych zasadach, niż państwo ludzkie“ [2]). Jedną z cech tych państw zwierzęcych jest „polymorfizm“, polegający na tem, że „osobniki wyspecjalizowane do pewnej pracy... w pierwszych swych stadjach rozwojowych otrzymują cechy, które nie pozwalają im w dalszem życiu nic innego wykonywać, jak tylko pewne ściśle określone czynności, na które zezwala budowa i inne cechy wykształcone w bezwolnym rozwoju tych istot“ [3]). Mrówka-robotnica wybitnie różni się budową od mrówki-królowej, czy mrówki-żołnierza, gdy tymczasem w społeczeństwach ludzkich „w zasadzie każdy osobnik... jest zdolny do wykonywania wszelkich prac“ [4]), wskutek czego każdy „w zasadzie“ może zostawać np. ministrem oświecenia publicznego, a zostaje nim na podstawie wymaganych w danym momencie dziejowym— cech duchowej natury.

Zresztą sam p. minister Czerwiński wypowiada pogląd, że ów „zoologiczny nacjonalizm“ nawet w naszem ludzkiem, polskiem społeczeństwie przejawia się wyłącznie „wśród młodzieży naszych szkół akademickich“, co z kolei prowadzi go do przypuszczenia, że młodzież ta nie znajdzie „wspólnego języka“ z pokoleniem, wychowującem się „w cieniu kominów fabrycznych i szybów górniczych, w cieniu sadów wiosek naszych“ czyli mówiąc mniej poetycko — w szkole powszechnej. Dostrzeganie wpływów ideologji nacjonalistycznej tylko wśród młodzieży akademickiej jest wprawdzie obserwacją niezbyt trafną, warto jednakże zwrócić uwagę na tok myśli p. min. Czerwińskiego, wniosek bowiem wynika niewątpliwy, że wychowanie w szkołach średnich oraz wyższych prowadzi dzisiaj w ostatecznym wyniku do... zezwierzęcenia. Myśl podobna tchnie ponurą beznadziejnością, owiewającą postać min. Czerwińskiego przejmującym wprost patosem tragizmu. Straszne to położenie, zaiste, być naczelnym zwierzchnikiem szkolnictwa wszystkich szczebli, posiadając tego rodzaju poglądy na wyniki własnej swojej pracy...

Jest jednakże conajmniej prawdopodobne, że teorje o „zoologicznym nacjonalizmie“ nie są wyrazem oryginalnych i głębokich przemyśleń p. ministra Czerwińskiego, nie wypływają z osobiście przeżeń wypracowanego, harmonijnego i konsekwentnie w życiu urzeczywistnianego poglądu na świat. Wyrażeniem tem (częściej w formie „zoologiczny antysemityzm“) od szeregu lat już posługują się u nas dziennikarze żydzi, ażeby przy jego pomocy w niedość krytycznych umysłach czytelników polskich skompromitować hasło obrony własnej cywilizacji narodowej przed niebezpieczeństwem żydowskiem. Zbędne tylko było wprowadzanie tego wyrażenia do deklaracyj ministerjalnych.

JAN REMBIELIŃSKI

[1]) Możnaby tu postawić zarzut, że powyższe uwagi o świniach czy osłach napisane zostały na podstawie przygodnych tylko, powierzchownych zupełnie obserwacyj. Wątpliwe jest jednakże bardzo, czy najbliższe nawet zżycie się z temi stworzeniami mogłoby doprowadzić ideologów „sanacyjnych“ do wyciągnięcia jakichś odmiennych wniosków.

[2]) Prof. dr. Michał Siedlecki: „Państwa zwierzęce“ (Wykłady powszechne uniwersytetu Jagiellońskiego. Z cyklu „O państwie“), Kraków, 1916. Nakładem G. Gebethnera i sp.

[3]) i [4]) *ibid.*

AMBASADY I POMORZE

MINISTERSTWO spraw zagranicznych Wielkiej Brytanji, uzasadniając wobec parlamentu podniesienie reprezentacji angielskiej w Polsce do godności ambasady, oświadczyło niedawno — ku niemałej uciesze prasy „sanacyjnej“ — że kraj nasz jest obecnie jednym z najważniejszych ośrodków polityki światowej. Nie jest to zdawkowy komplement. Mr. Henderson ma słuszność. W podobny sposób mogłaby być uzasadniona analogiczna, lecz wcześniejsza decyzja przezydenta Hoovera, którą mr. Henderson ubiegł, aby nie dać się wysadzić z pozycji starszego niźli Ameryka „przyjaciela Polski“. Podobnie też, nie sam tylko sentyment radykalistyczny nakazuje mr. Hendersonowi, mimo zupełny brak uprzejmości ze strony Kominternu, forsować wymianę ambasadorów ze Z. S. R. R. Nie może wszak Anglja pozostawać sama jedna bez urzędowego kontaktu z Moskwą, skoro wszyscy go utrzymują, Amerykę zaś faktycznie reprezentują tam Niemcy.

Wschód europejski staje się w polityce międzynarodowej istotnie aktualny i ważny. Nie tak, jak w niedawnym jeszcze czasie, kiedy z Czerwonej Moskwy we wszystkie strony świata biegły podziemne wstrząsy wywrotowej propagandy, tu i ówdzie wybuchając płomieniem krwawej pożogi. Wręcz odwrotnie, inicjatywa przechodzi obecnie w ręce zachodnie, zwłaszcza najdalsze, amerykańskie. Naczelnym bodźcem czynu jest konieczność zażegnania światowego kryzysu hyperprodukcji dóbr i kapitałów, w którym duszą się mocarstwa wysokiej kultury gospodarczej. W tym celu musi być rozszerzona pojemność światowego rynku przez otwarcie nowych pól inwestycyjnych, podniesienie stopy życiowej i zdolności spożywczej zaniedbanego pod względem gospodarczym wschodu. To jest nieubłagana konieczność życiowa, która się zachodowi narzuca. Zadość uczynić jej można, dla kapitałów angażowanych, tem bezpieczniej, im solidarniej nazewnątrz występuje zespół państw

kapitalistycznych, podejmujący inicjatywę, oraz w im większej państwa gospodarczo bierne pozostają — w stosunku do niego — harmonji politycznej, lub zależności.

Organizacja tego gigantycznego przedsięwzięcia posuwa się szybko naprzód. Oddawna już uznano za aksjomat, że powszechnemu, nowemu *Drang nach Osten* przodować mogą tylko, doświadczone w tym kierunku, Niemcy, jako potęga gospodarcza i polityczna pierwszorzędna, a terenu akcji najbliższa, łatwo presję nań wywierać mogąca i najlepiej z nim obznajmiona. Niemcy wysunęły jako warunek *sine qua non* polityczną swobodę ruchów dla siebie w tymże kierunku. Przyznano im ją tem łatwiej, że wyrasta ona nieomal organicznie z funkcji przodownika w ofensywie gospodarczej i poczytywana jest przez anglo-sasów za użyteczny tej ostatniej współczynnik. Przyznanie nie jest wprawdzie formalne, lecz zapewnione w praktyce przez zapowiedzianą ewakuację Nadrenji. Za przodownikiem niemieckim stanęła bezpośrednio naczelna potęga kapitalistyczna — Ameryka, której przewaga europejska Niemiec niczem nie zagraża, a w *bussiness*'ie wschodnim pomóc może. Powstał *sui generis* finansowo-polityczny, międzymocarstwowy koncern Stanów Zjednoczonych z Rzeszą, oparty na kapitale zakładowym $1^1/_2$ miljarda dolarów, od szeregu lat inwestowanych w przemyśle niemieckim; zacieśniany obecnie przez wykup akcyj niemieckich przedsiębiorstw przez Amerykę oraz misterne splatanie organizacyjne interesów amerykańskich i niemieckich, z taką fasadą zewnętrzną, jaka okolicznościom każdorazowym najlepiej odpowiada.

Tak to, z za oceanu, poprzez wiry Locarna i Hagi, pod osłoną paktu Younga, banku *des reglements internationaux* i ewakuacji Nadrenji, zwolna nadciąga ku wschodowi, z konieczności światowo-gospodarczych i słabości francuskiej zrodzony, żywiołowo potężny prąd międzynarodowej walki o byt. Polska znajduje się na głównym szlaku tego żywiołu, kojarzącego siłę użyteczną i niszczącą.

Obszary godne kapitalistycznego zapłodnienia znajdują się wprawdzie także w dorzeczu Dunaju, ale tam ów prąd zasięga tylko ubocznie. Nadciąga zaś groźną falą wprost na nasz kraj, poczęści dlatego, iż z pośród objektów gospodarczych pomniejszych jest to najpokaźniejszy i najbliższy, przedewszystkiem jednak z powodu, iż bezpośrednio za nami znajduje się cel główny, wymarzony — Rosja. W sensie gospodarczym dadzą się pomyśleć do niej drogi okrężne, mniej zresztą dogodne, ale politycznego dostępu do Rosji niema innego, jak przez Polskę i z Polską, o ile nie po jej ciele. Obecny zaś stan rzeczy tak się właśnie układa, że wyżej wspomniana konieczność trwałej politycznej harmonji pomiędzy stroną, która kapitał daje, i stroną, która go otrzymuje, albo też politycznej przewagi pierwszej nad drugą, ze szczególną siłą występuje w stosunku do Rosji.

Kapitał, któryby ona otrzymała w ilości dość poważnej, żeby odrodzić jej energję polityczną, mógłby być bezpieczny, mógłby nie wydawać wierzyciela na łaskę i niełaskę (względnie nasyconego) dłużnika, tylko o tyle, o ileby wierzyciel rozporządzał potężnemi środkami politycznego nacisku.

Nielojalność bolszewickiego *régime*'u wobec „burżuazji“ tworzy podstawę nieufności, która dotąd kapitał trzymała od Moskwy zdala. Poszczególni ryzykanci niefortunnemi wynikami swych imprez nieufność tę zdołali zaszczepić nawet w Niemczech, aczkolwiek one przez czas długi pozostawały z Moskwą w dobrej harmonji politycznej. Już ten niemiecki wypadek stwierdził, że nawet przy dobrej woli obecnych władców Rosji, stosunki tamtejsze zasadniczo nie sprzyjają prosperowaniu kapitału.

W latach ostatnich, równolegle z postępującym rozkładem gospodarczym Czerwonego Imperjum, stan rzeczy znacznie się jeszcze pogorszył i w szybkiem tempie nadal się pogarsza. Niemal codziennie nadchodzą z Bolszewji wieści złe, świadczące o głębokiej demoralizacji mas robotniczych i wogóle miejskich, oraz o krwawej rozterce pomiędzy *régime*'m a włościaństwem. W tych warunkach, trafnie ocenionych przez wycieczki przemysłowców anglo-saskich, mogą wprawdzie dochodzić jeszcze do skutku poszczególne kontrakty handlowo-kredytowe z firmami amerykańskiemi, bardzo drogo przez Wniesztorg opłacone, mógł także, przyciśnięty ciasnotą światowego rynku, Ford zdobyć się na gest indywidualnego ryzyka. Wszelako już jego dotąd nie zrealizowana umowa co do budowy fabryk samochodów w Rosji, pozostawać się zdaje w związku z rachubą na postępy, przedwcześnie przez Forda eskontowanej, wielkiej akcji międzynarodowej w kierunku wschodnim. Nie ulega w każdym razie wątpliwości, że naprawdę poważny, o światowym rozmachu wmarsz kapitału do Z. S. R. R. jedynie, nawiasem mówiąc, celowy, możliwy jest nie inaczej, jak pod osłoną setek baterYj na granicy. Co więcej, niemożliwy on jest bodaj bez daleko sięgających zmian w samej Rosji.

Bateryj tych mogłaby dostarczyć Japonja, ale tego Ameryka sobie nie życzy.. Pozatem Turcja, Rumunja, Polska oraz Niemcy, o ileby się z Polską pogodziły, lub osiągnęły na nią wpływ przemożny. Nie trzeba dodawać, że takie potencjalne zastosowanie artylerji dla dobra światowego gospodarstwa może nastąpić tylko w dyskretnej i dyplomatycznej postaci zbliżeń i porozumień między sąsiadami Rosji (przedewszystkiem Niemcami a Polską), oraz że wymagałoby wstępnego kapitalistycznego zapłodnienia krajów ościennych, uprzedzającego rosyjskie.

Powstrzymując się narazie od rozważań, czy i w jakich warunkach mogłaby zajść potrzeba użycia siły gwoli włączeniu obszarów rosyjskich w system światowego gospodarstwa, jakiemi gwarancjami taka ewentualna przyszła interwencja musiałaby zostać opatrzona od strony Niemiec, o ileby nie miała stać się początkiem końca polskiej niepodległości, i wreszcie do jakiego celu politycznego miałaby zmierzać na wschodzie—stwierdzić jednak należy, że na tle powyższem zupełnie zrozumiałą staje się opinja mr. Hendersona o Warszawie, jako o „jednym z najważniejszych ośrodków polityki światowej“. Jesteśmy w tym wielkim planie, który zapoczątkowała Anglja, a który z większą mocą podejmuje obecnie Ameryka — ogniwem niezbędnem.

Gdybyśmy stawili opór lub zanadto wygórowali warunki (np. żądając d o r a ź n y c h ustępstw terytorjalnych na Śląsku lub Mazurach), to narazilibyśmy kapitał międzynarodowy w jego zamiarach wobec Z. S. R. R. na tak straszliwe ryzyko, że prawdopodobnie nie ośmieliłby się go podjąć; o ileby Ameryka nie zrezygnowała wobec Japonji.

Nasza zatem pozycja międzynarodowa jest w chwili obecnej mocna zasadniczo; mocna również taktycznie, albowiem pakt Younga zaleca regulację wschodnią, bez paktu Younga niema ewakuacji Nadrenji, a rząd Tardieu, bardziej niż poprzedni skłonny jest do gry na cenną dla nas w sprawie reńskiej zwłokę. Czy ta nasza moc odporna jest bezwzględna? Czy wystarczyłaby na to, ażeby wręcz odmówić wejścia w skład kapitalistycznego zespołu, oraz odmówić politycznego poparcia jego dążeń na froncie wschodnim, gdyby nam takie jedynie stanowisko odpowiadało? Trudno na te pytania dziś odpowiedzieć, bo mogłaby je rozstrzygnąć tylko walka, w której silnie zaciążyłby na szali fakt dokonany ewakuacji Nadrenji, rozstrzygnęłaby zaś zapewne większa wytrzymałość nasza—na bojkot ze strony kapitału międzynarodowego, lub kapitału—na zablokowanie przez nas przed nim Rosji. W każdym jednak razie posiadamy conajmniej przed sobą szerokie pole obronne, w starciu o warunki.

Na tle konjunktury powyższej Niemcy nie zyskują wobec nas, poza ewakuacją Nadrenji, żadnego nowego czynnika przewagi zewnętrznej. Najważniejszym czynnikiem tego rodzaju był dotąd fakt, że „zgoda” niemiecko-polska najprościej i najszybciej prowadzićby mogła do wydatnej pomocy finansowej zagranicznej dla naszego kraju. W położeniu obecnem czynnik ten zarysowuje się wyraźniej jeszcze, niźli przedtem, raczej jednak traci na sile wobec tego, iż jesteśmy bardziej niż kiedykolwiek potrzebni. Zgody niemiecko-polskiej życzy sobie obecnie Ameryka, warunki pozostawiając do uznania Niemców. Życzy jej sobie p. Briand, warunki pozostawiając zapewne do uznania naszego. Życzą jej sobie wreszcie sami Niemcy, tak ze względu na widoki moskiewskie, jak też i bezpośrednio ze względu na plan Younga. Warunki wszakże pragną nam Niemcy dyktować jednostronnie. Zmierzają jeszcze wyraźniej, niźli poprzednio, do tego, by dopuszczając kapitał amerykański do Polski, wprowadzić z nim równocześnie niemiecką finansową i polityczną nad nami kuratelę. Traktat handlowy, dla naszego przemysłu rujnujący, miałby nam drugą ręką odebrać to, coby pierwsza w kredycie zagranicznym dała. Oddawna stosowane, usilne poparcie finansowe dla Niemców, którzy w Polsce pozostali, zrzeczenie się przez Polskę prawa likwidacji ich majątków, prawo osiedlania się dla nowo przybywających, wszystko to zmierza oczywiście do tego, ażeby przywrócić i rozszerzyć przedwojenny niemiecki narodowy stan posiadania w Polsce, zapewnić żywiołowi niemieckiemu przodujące stanowisko gospodarcze w państwie oraz odpowiedni wpływ na jego losy i politykę międzynarodową. Gdyby bieg rzeczy w tym kierunku dostatecznie się rozwinął, gdyby istotnie zakwitła tego rodzaju „zgoda” niemiecko-polska, wówczas zyskaliby w nas Niemcy cennego wasala, który z ich ramienia pełniłby służbę żandarmską na straży kapitału międzynarodowego w Rosji Sowieckiej. W razie zaś konfliktu z nią i jakichkolwiek naszych na wschodzie nabytków terytorjalnych (np. Litwy) ze strony niemieckiej przygotowaneby już było *maximum* szans dla wydarcia Polsce tytułem rekompensaty jej krain zachodnich. Gdyby to nawet na początek miało być „tylko” Pomorze, nie ulega wątpliwości, że znaleźlibyśmy się na pierwszym szczeblu ewolucji terytorjalnej, której kres zarysowuje się w dążeniach niemieckich, jako zepchnięcie Polski w błota pińskie i odrodzenie traktatu brzeskiego. Bez Pomorza bowiem nie da się pomyśleć obrona wojskowa przed Niemcami, czy to w wysuniętym klinie wielkopolskim, czy przeciwko inwazji z Mazurskiego Pojezierza; nie da się też pomyśleć jakakolwiek gospodarcza i polityczna niezawisłość Polski od Niemiec.

Prawda, że są to na razie tylko dążenia niemieckie. Prawda, że chociaż kwestja Pomorza prawdopodobnie nie zmobilizowałaby naszych europejskich przyjaciół przeciwko Niemcom, bo zachód jej niedocenia, to natomiast dalsza z tego punktu wyjścia ewolucja w kierunku brzeskim godziłaby ciężko w interesy Anglji, Francji i Włoch; powinnaby zatem wywołać z ich strony odpór orężny. Ani jednak sama taka reakcja nie jest pewna, ani wynik ewentualnej nowej wojny europejskiej niekoniecznie musiałby być podobny do wersalskiego, gdyż odbywałaby się ona w zmienionych gruntownie okolicznościach. Zupełnie inny ciężar gatunkowy miałaby Rosja, o ileby wogóle w niej uczestniczyła. Co zaś najważniejsze, to że wschodnia ekspansja Niemiec zupełnie nie przeszkadza Ameryce, która też od pewnego czasu przypomina swej angielskiej siostrzycy, że nie tolerowałaby ponownej blokady (wolność mórz).

Skoro zatem, z jednej strony, obecna pozycja międzynarodowa Polski jest mocna i pozwala, w pewnych granicach, stawiać warunki, z drugiej zaś, polityka światowa niesie w potężnym swym prądzie nieograniczone możliwości i wielkie zarazem niebezpieczeństwa, to zdawałoby się, że mamy zarówno obowiązek, jak i wszelką szansę osiągnąć zapłodnienie kapitalistyczne naszego gospodarstwa na warunkach, któreby nam zapewniały przynajmniej *minimum* niezbędnej osłony na zachodnim froncie. Dzieje się niestety inaczej. Gdyby nie czujność obozu narodowego, już latem b. r. bylibyśmy połknęli haczyk pierwszej zaraz próbnej wędki osławionego Harrimana. Obecnie nie wiadomo jeszcze, jak wypadnie traktat handlowy oraz jego klauzula osiedleńcza dla Niemców, jednakże punkt ugody likwidacyjnej, dotyczący osadników pruskich na Pomorzu, świadczy wymownie, iż czynniki za los Polski odpowiedzialne, niebezpieczeństwo niemieckie szacują zbyt nisko, że niedość szczelnie domykają przed niem drzwi naszego domu. Czemu?

Motywy zdają się pochodzić z zakresu polityki zarówno wewnętrznej, jak zewnętrznej. Słabą stronę obecnej polskiej pozycji międzynarodowej, stanowi stan naszego gospodarstwa narodowego. Jego strona finansowa znajduje się bez przesady „na ostatnich nogach“. Ma to swoje ważne przyczyny objektywne. Wszelako umiejętna, celowa polityka gospodarcza mogła była ów stan złagodzić, powiedzmy symbolicznie, — o 25%. W rzeczywistości została zastosowana polityka wręcz odwrotna, wyraźnie lewicująca, konsumencka i etatystyczna, która zamiast ulgi, o 25%, zaostrzyła kryzys. Nie sposób nie stwierdzić, że wywołane w ten sposób znaczne osłabienie odporności społeczeństwa na głód kapitału, zbiegło się w czasie z konjunkturą międzynarodową o charakterze przełomowym, bardzo trudną i niebezpieczną, wymagającą zaciśnięcia zębów i pasa oraz wytrwałego targu z kapitałem międzynarodowym o polityczne warunki jego w naszem gospodarstwie narodowem współpracy. Doniosłość popełnionych w polityce ekonomicznej błędów wzmaga się przez to niesłychanie.

Aczkolwiek społeczeństwo słabo się w tem naogół orjentuje, jednak nacisk wewnętrzny sam przez się wystarczył, ażeby silnie zaostrzyć ruch opozycyjny. Obóz rządzący znalazł się przeto, wewnątrz państwa, w sytuacji niemniej ciężkiej, jak ta, w którą ono samo zostało wprowadzone. Stąd zrodziła się zapewne skłonność naprzód do chwytania lada okazji w rodzaju Harrimana, następnie zaś do dalszego posunięcia się po zewnętrznej linji najmniejszego oporu, w kierunku „zgody“ z Niemcami; choćby politycznie przeplaconej, ale rokującej przyśpieszone względy międzynarodowego kapitału i wybrnięcie z finansowego ślepego zaułka. Na tę drogę tem snadniej zapewne wejść się zdecydowano, że niecierpliwość kół rządzących oraz miękkie stanowisko wobec Niemiec, nie są pozbawione widoków na oddźwięk przychylny po lewej i obcoplemiennej stronie Sejmu.

Może jednak do zajęcia takiego właśnie stanowiska na froncie zachodnim przyczyniły się także pewne motywy natury zewnętrzno-politycznej. Straż nad bezpieczeństwem kapitału, pragnącego się angażować w Rosji Sowieckiej, nie przesądza wprawdzie konfliktu z nią, gdyż wielkie mocarstwa bezwątpienia pragnęłyby i mają nadzieję go uniknąć. Wszelako ich starania mogą zawieść. Nie potrzeba tłumaczyć, jak kuszący jest taka perspektywa dla niektórych naszych nieodpowiedzialnych „federalistów“. Kto wie, czy im się nie wydaje ona wartą Pomorza, a już conajmniej pozostawienia pruskiej kolonizacji na tamtejszym szlaku strategicznym, który jak sznur opasuje bałtycką szyję Polski, gdy równocześnie pogranicze od tamtej strony ma być zasiedlone przez niemieckich zbiegów z Bolszewji. Czyżby dłoń polska, która dotąd dzierżyła sznur Noteci, miała się zacząć rozwierać gwoli „mocarstwowym“ widokom na wschodzie? Niestety, pewne dobitne objawy, dawniejsze i najnowsze, zdają się to przypuszczenie potwierdzać.

STANISŁAW SZCZUTOWSKI

CALIGULA

TRZEBA teraz więcej zająć się literaturą, skoro ilustrowanie satyryczno-sceptyczne dzisiejszości nastręcza większe trudności i przeszkody, niż trzydzieści, niż dwadzieścia, niż dwanaście lat temu.

Teatr Narodowy wystawił niedawno najtęższe dzieło dramatyczne pierwszego dziesięciolecia niepodległej Polski: K. H. Rostworowskiego tragedję chłopską o matce, która zabiła syna. Publiczność dzisiejsza nie wie o tem, nie przypomina sobie, nie pamięta, że ten nie po Wyspiańskim ale obok Wyspiańskiego największy mocarz scenicznego słowa ma za sobą dwa arcydzieła, że gdyby mu nie „przeszkadzały“ jego: chrześcijaństwo żarliwe i bojowe, jego katolicyzm wojujący, apostolski, jego społecznikostwo czujne, jego rasa czysto polska, jego klasa społeczno-ziemiańska, jego dekalog artystyczny i niezłomność charakteru Calderonowska, K. H. Rostworowski byłby w dzisiejszej Polsce tak sławny i szanowany może jak pan... Kaden.

Niestety! i dziedzicznie i indywidualnie obciążony jest ten poeta walorami tak nie aktualnemi, że kiedy o ekskrementach i koprofagjach tego pana Kadena piszą się całe strony, K. H. Rostworowski nadal jest nieznany, nieznajomy, fikcyjny. Belfry, snoby i t. zw. sinki pospolite *sinus lodomdricus*, piszą „przyczynki o przecinkach“ i t. p. namiętne żydy nadal udają i zgrywają się z różnemi „kultami“, a K. H. Rostworowski, żywcem zagrzebany w ś. p. Krakowie żywie sobie w cieniu, na odludziu, w „małej parafji“ Bourgetowskiej, *nomen magnum* ale *ignotum*.

Jedno z tych wielkich dzieł naszej literatury dramatycznej godzi się atoli przypomnieć dzisiaj, nie już jako dzieło sztuki i dzieło autora, którego sztuka niedawno grana była w Narodowym Teatrze, ale ze względu na zawartą w temże dziele potęgę jasnowidzenia, na wróżebny tegoż utworu ton i charakter. Znów tu stajemy przed wielką zagadką, przed tajemniczym, niezbadanym ale stwierdzonym darem u wielkich poetów jakiegoś proroczego przeczuwania i przepowiadania tego, co ma nadejść, co zawieszone w obłokach, co grozi. Niedawno przypomniano we Francji, jak to V. Hugo jako „*voyant*“ przepowiedział nietylko Napoleona III wzrost i upadek, ale pierwszy stabilizował termin polityczny: „Zjednoczone Stany Europy“, ale pierwszy przepowiedział też (i to w r. 1871 po Wersalu) upadek cesarstwa niemieckiego w apostrofie do Niemiec: „wyście nas wyzwolili od naszego „cesarza“ my was w przyszłości wyzwolimy od waszego...“

Poeta K. H. Rostworowski swój dramat o Kaliguli napisał w r. 1916-tym. Taką datę nosi egzemplarz wydania: we wsi Góry, 5-go marca skończony w r. 1916 tym, a w r. 1917-tym wydrukowany. Zaczem podczas najbardziej srożącej się światowej wojny, kiedy jeszcze planeta Polski tonęła w chaosie klęsk i zwycięstw i kiedy jeszcze niczego i nikogo nie można było przewidzieć, kiedy imię rzymskiego cezara wiązała opinja europejska z jego przewcieleniem Hohenzollernowskiem... Na scenach polskich genialnie interpretował rzymską wizję wielkiego poety L. Solski, poczem rzecz cała, ważna, doniosła i ostrzegająca poszła w całkowite zapomnienie. W świadomości i w sumieniu opinji publicznej w Polsce dramat Rostworowskiego niestety się nie utrwalił, nie zakotwiczył i nie ostał na stałe.

Godzi się go tedy przypomnieć, godzi się skierować uwagę ogółu na ten szczyt twórczości autora „Niespodzianki“ na jego *standard work* dotychczasowy, na sztukę, w której z pokładów twórczych podświadomych wypowiedział się, wyjawił duch wieszczy.

Dramat cezara rzymskiego, obarczonego przekleństwem ludzkości i przygniecionego głazem niesławy, zaczyna się u Rostworowskiego już w erze zaćmienia jego wszechpotęgi, kiedy opozycja spiskująca hardo podnosi głowy do góry i kiedy nadchodzi nieubłaganie jego upadek. Polski poeta, rycerski i chrześcijański w każdym calu, w każdej fibrze, w każdej myśli, w każdym przebłysku myślowym staje wobec dwóch zwalczających się sił jednako wrażych, ale jednako ludzkich, na stanowisku najgórniejszem bezwzględnej objektywności i bezstronności, wyżej od Szekspira („Juljusz Cezar“), a może bliżej Dostojewskiego (djalog z Wielkim Inkwizytorem). On daje, on oświetla jasnem, pożerającem światłem tylko ludzi, biednych roba-

ków ludzkich jednakowo winnych i... niezawinionych. Twardą ręką stawia na nogi blady, chorowity, histeryczny, zamierający, a jeszcze straszliwie groźny upiór imperatora - samowładcy, ale równie twardą ręką gromadę wiecznie deliberujących, świegotliwych, tchórzliwych, oportunistycznych, każdej chwili gotowych do kompromisów Quirytów: senatorów, spiskowców. Takiego potężnego wizerunku i takiej psychognostycznej wiwisekcji biednej, chorej duszy dyktatorskiego despoty nie dał żaden poeta żadnej literatury: przy Rostworowskim i B. Shaw („Cezar i Kleopatra") i D. Mereżkowski („Paweł I") robią wrażenie afiszerów, panoramistów i bawidamków. Jakąż litość co moment budzi ten potwór („nie!.. tylko człowiek"), ten tyran o „zapadniętych skroniach" i oczach błyszczących gorączkowo „blaskiem ludzi, którzy długo nie spali" jakąż litość budzi ten despota... o którym jego druga żona Caesonia mówi z płaczem:

„Z początku wszystko, wszystko miał
I serce miał i rozum miał,
I chciał lud cały uszczęśliwić...

Zdeprawowało go życie, powodzenie, sukcesy, triumfy i marnota, małość, małoduszność miernot otaczających, tych drobnoustrojów, co go „władcą świata ogłosili", a potem go... wyniszczyli, „zanadto mnie wyniszczyli", pokorą, podchlebstwami, podłością i chciwością „wyniszczyli". Demon władzy i ucisku opętał duszę tego poganina od momentu proklamowania go przez wojsko naczelnym wodzem. Mówi o tem spiskowiec, trybun pretorjanów Cherea

Kajus Germanika syn
W naszym obozie chowany,
W nasze kaligi ubrany,
Przez nas żołnierzy wypiastowany
I nazwany

Przez swoje wojsko od „kaligów" Kaligulą nazwany, wierzy i ufa biedny cherlaczy mocarz tylko w swoich dawnych centurjonów i tylko w Germanów, w „germańskie straże". Germańskie centurje, włączone do rzymskich Legjonów, wzniosły go na szczyty, „germańska" gwardja i opieka tylko go może w krytycznych sekundach obronić. Podobnie jak w tysiąc ośmset i dziewięćset lat potem carowie rosyjscy, podobnie w zaraniu dziejów imperatorowie rzymscy opierają swój absolutyzm na opiece, protekcji i wierności „germańskiej straży". I to już od tej chwili kiedy, jak mówi Kaligula:

Widziałem już wtedy,
Kiedyście mnie wybawcą Romy ogłosili,
Na waszych rękach nosili,
I kiedy cały świat
Jak kuchnia był zadymiony
Od ofiar, w onej szczęśliwości dobie,
Gdym powrócił do zdrowia po mojej chorobie.

Germańska opieka, germańska straż i jego przyboczne centurje pozwalają mu czas jakiś rządzić żelazną ręką i pomiatać obywatelami Rzymu (*cives Romani*), poddanymi cywilnymi. Rozpowiada o tem na konwentyklu opozycji właśnie jeden z pretorjańskich dowódców, Sextus Papinius, przy chóralnym wtórze zebranych:

Otóż to! Otóż to go porusza,
Ale że wydusza
Z ludu ostatnią kroplę krwi,
To nic nie znaczy! To wybaczy,
Otóż to!
Bo Cezar dzieckiem w obozie żył...
Potem w obozie razem pił....
Otóż to!
A wreszcie kazał wywiesić na murze
Tablice z podatkami, złupić cały lud
Podatkami.
Otóż to! Otóż to!
Byle żołdactwo miało wbród.
Złupić cały lud
I za krzywdy, w stosunku do zabaw nie duże,
Nie duże!
Służyło Cesarzowi jak pies...

I żołdactwo karmione nadto igrzyskami (*circenses)* na koszt Cezara służy dopóty, dopóki jemu wiernie służy imperator, niewolnik „germańskich straży" i centuryj przybocznych. Cezarowi wolno upokarzać i pomstować na wszystkich. Wolno mu rządzić tak, jak to w swej mowie płomiennej określa jedyny szlachetny spiskowiec wśród spiskowców płaskich i podłych, młody, 20-letni Regulus:

Bo ludzi dobrej woli upadla bezprawiem,
Bo człowieczej godności i szczęściu ubliża,
Bo tych, co w jutro wierzą, przygważdża do krzyża...

Wolno Cezarowi miotać ostatnie obelgi na Senat i na *populus* na Forum i na dumnych obywateli rzymskich, wolno mu (w drugim akcie) prażyć ich takiem sromosłowieniem i ruganiem:

Jeśli myślicie że dzięki temu,
już wiecie, co tyranja znaczy,
To się mylicie!
Ja was tyranji dopiero nauczę,
Ja wam z pysków te maski cnoty i zasługi
Zedrę i stać będziecie wobec potomności
Nadzy!
A razem z wami szereg długi
Tych, co przed wami kłamali,
Co Rzecząpospolitą i ojczyzną zwali
Nienasyconą żądzę władzy,
Te wasze Scypiony, Brutusy! lichwiarze
Te wasze Kapitole i Westy ołtarze
Te wasze sanktuarja przeszłości.

Rozmiłowawszy się właśnie w tym szlachetnym spiskowcu Regulusie, Cezar Kaligula wpaja, wsącza mu w młodą duszę bezbrzeżną pogardę dla tych „pysków":

Mnie się zdaje, że ty widzisz wszędzie
Takie olbrzymy a to takie karły!

Kaligula wyszydza satanicznie Regulusa społecznikostwo, patrjotyzm i jego młodzieńczą rzymską dumę:

Hehe! Jeszcześ nic nie przeżył
Więc powiesz: mnie na Forum, na szeroki świat
Hehe! Idź na Forum! Usłyszysz niewiele
Oprócz: Obywatele! Obywatele!
Jednakowo skorzystasz, bo wybadasz, kto to
Od czasów Romulusa zowie się hołotą!

Kaligula w przeciągu kilku lat rządząc terrorem i złotem, przemocą i przekupstwem dochodzi do fałszywego,typowo cezarystycznego doświadczenia i przekonania, że wszystko i wszystkich można zjednywać postrachem lub pieniędzmi. Opowiada o tem z lamentem jego druga żona Caesonia:

Powiadam ci, wysoki, pełen skarbiec miał,
To, nic a nic nie przesadzam,
Tak pieniędzmi siał,
Że po ulicach walało się złoto,
Nie mam mu tego za złe,
Mniejsza o to,
Choć często w domu brakowało,
Ale teraz, gdy nic już niema,
Nawet i połowy,
Nawet ćwierci,
Z tego, co pozostawił Tyberjusz po śmierci...
No ta zabawa,
Z roku na rok coraz częstsza i huczniejsza,
Teatry, wyścigi, naumachje, igrzyska,
Poprostu serce się ściska...

A sam Imperator w zaciekłem rozdrażnieniu mówi o tej chciwości, łakomstwie i karjerowiczostwie, łapczywości elity rzymskiej:

Wiedziałem, że ten weselny wrzask
Ukrytą prawdę odsłania,
Ukrytą groźbę: ty się staraj!
Rób co chcesz, bierz skąd chcesz,
Byleśmy korzystać mogli z twoich łask..

. . . .

Senatory!
Odwiecznej Romy podpory
Psy!... Bo pies
Rzucić mu kość
Choćby bez mięsa, na złość!
A chwyci! chwyci i ogryzać zacznie
Pośród śmietniska, gdy śmietnisko
Wśród gnoju!...

Wreszcie zaś stwierdzają tę podłą ugodowość pewnej części opozycji, zawsze gotowej iść na kompromisy z chorym, patologicznym satrapą, o ile tylko znów się pewnym grupom koncesjami i darami okupi, stwierdzają to i dwaj „spiskowcy” w przepotężnej scenie ostatniego konszachtu, tuż przed katastrofą. Po jednej stronie stają ci „chadataje“, co każdej godziny gotowi są na konszachty, radzi zawierać pakty: „jeśli pierwszy rękę nam podaje, jeżeli pierwszy zgody z nami chce, to nic innego nam nie pozostaje, jak brać, no nie?!... „no bo o co chodzi, jeżeli nam dogodzi, no to nam dogodzi“.

W imieniu tych „radykałów“ przemawia ironicznie senator Asprenas:

... No tak, dla ważnych powodów
Mamy przecież przykłady u innych narodów.
Można! nie mówię nawet trzeba...
Każdy potrzebuje... ideału.
Każdy gotów wiele znieść
Byle tylko dobrze... służyć ojczyźnie...
Bo przecież, gdzie zdrowy duch,
Tam podstawą wielki... rozwój
Obywatelskich cnót...
.. Zaraz... Ale
Nie pochwalam tego wcale,
Jeżeli naród się ciska
Chociaż przed nim pełna... swoboda
Wówczas to działa uparcie
Widocznie nie dba o... sprawy publiczne...
... A zatem, jeśli Cezar to wszystko nam daje
Bezsprzecznie nic innego nam nie pozostaje
Jak brać!...

Takie są „Cycerońskie“ argumenty jednego z przywódców opozycji, gotowej każdej chwili maszerować na Kapitol do pałacu Cezara.

Na czele innej grupy opozycji stoi Cassius Cherea, jeden z niezadowolonych trybunów pretorjańskich, który prze do rozgrywki, wiedząc już na pewne, że jego przyjaciołom politycznym tKaligula nic nie da, nie ze względów moralnych edy, tylko i wyłącznie z tej racji, że od despoty w danym momencie na żaden współudział w rządach i w szafowaniu pieniędzmi liczyć nie może.

Więc i powtarzam: żadną miarą
Nie przesadzając. Powiedział mi,
Że choćby sto piorunów!.. przysięgam: sto!
Trzasło!
Choćby go na krzyż!... przysięgam: na krzyż
Przybijano!
„To nic więcej nie dostaną!“
Niby my...
No i dał co? Dał co? Gdzie?
Komu? Nikomu! Żadnemu z nas...
Nadszedł czas,
Ażeby bronić szermierzy,
Którzy za wolność...

Teraz do tej chciwości, do tej łapczywości na władzę, na przypuszczenie do współrządów, dodać trzeba jeszcze potworne, bezbrzeżne tchórzostwo, wieczny lęk, strach, sybarytyzm, kwietyzm, niesprzeciwienie się złu, bierność, służalstwo, apatję, pełzanie, lizanie, pochlebianie, panegiryzm Quirytów. Gdy tylko znajdą się twarzą w twarz, ci dumni senatorowie, wodzowie, dygnitarze szeptają tylko: boski! boski Cezarze!

„Czar twe usta zamienił w struny Apollina!“

Po każdej jego mowie, nawet impertynenckiej, napastniczej klaszczą i choć chmurni i posępni bełkocą *unisono*... „poema! poema!“

„Trzeba światu przekazać,
Trzeba złotemi zgłoskami“.

Taki senator Annius Munitianus, pozornie do spisku należący, aktywny opozycjonista, gdy się znajdzie sam z „wybawicielem Romy“ jak płaz płaszczy się i sepleni:

Takiej bowiem wielkości,
Takiej niezwykłej łaskawości
W sprawowaniu najwyższej władzy! umiarkowania
Takiej nadludzkiej, więcej niż boskiej mądrości!
W żaden sposób milczeniem
Pominąć dzisiaj nie mogę...

No i teraz gdzie tu miejsce na dziwienie się, że na bagnie takich charakterów niewolniczych, takich czered zdegenerowanych, takiego narodu Rzymian potężnych a spodlałych, wyradza się i wyrasta rozłożyście dziwoląg psychiczny, monstrum mizantropijne, zionące i żygające nienawiścią i pogardą do swoich ludzi, do swojego narodu, do poddanych rabów narodu, do tych „pysków” i „karłów“ i „gnojów“?

A ludzie?
Kulki niżej stopy,
Że zrozumieć nie można, czemu te okropy
Wystają jeszcze z błota i bierze ochota
Wcisnąć! Takie to spłaszczone,
Do własnych tajn przyczepione,
Wydeptujące proste drogi.
Nie przeczę, bardzo proste według ścisłej miary:
Tu swiątynie, tam droga, a tu lupanary.

Oszalały z odrazy do tego morza podchlebców i tchórzów, decyduje się Caligula na sprowokowanie Rzymian tem, że senatorem czy konsulem zamianuje konia, którego świeżo nabył, skoro dotychczas udawało mu się i gładko przeszło mianowanie dygnitarzami: pijaków, opojów, gwałcicieli, rozpustników, homoseksualistów i podrzędnych kaprali

„I wkrótce zostanie konsulem! na znak,
Że dzisiaj w Rzymie ludzi brak,
Na znak, że człowieczej rzeszy
Znudziło się być człowiekiem,
A mnie po czterech latach panowania zbrzydło
Uważać bydło za nie-bydło . . .

Tak się zwierza otwarcie, śmiało, zuchwale, młodemu Regulusowi, o którym wie, że ten młody patrjota - narodowiec wśród tych spiskowców deptanych, kopanych, bezambitnych i splutych od stóp do głów, jest jedynym idealistą, jedynym nieprzejednanym, gotowym każdej chwili zatopić mu sztylet w kark, żeby Romę uwolnić od upiora, od biednego upiora, od pająka. Zdeprawowany, zatruty do szpiku kości pochlebstwami Caligula nagle, niespodziewanie po raz pierwszy zakochuje się i moralnie, no i jak na takiego zwyrodnialca przystało, i fizycznie, cieleśnie w Regulusie, który jego dziką, opętańczą, obrażającą Rzym i Rzymianorację przerywa groźnem: „C e z a r z e! W a r a!” i rzuca się nań w przystępie gniewu, aż imperatora znów „s t r a ż g e r m a ń s k a” musi brać w obronę

i obronić. Wtedy to dzieje się coś przedziwnego, co wskazuje, że na dnie duszy potwora są jeszcze ziarenka szlachetnych impulsów. Cezar osłupiał, zdumiał, zdębiał!

Raz w Galji
Przebrany za Jowisza
Usiadłem na wysokim tronie
I kazałem oddawać sobie boską cześć
I zobaczyłem zdaleka
W tłumie, gdy wszyscy na twarze padli,
Chłopa,
Który patrzył i który czułem, że rozumie,
Więc rozkazałem go zawezwać,
A gdy przyszedł, zapytałem, czy wielkim ja jestem
Odrzekł mi: Wielkim błaznem! Chłop!
To było raz!
A drugi raz to dzisiaj.
Przez ten cały czas,
Spotkałem tylko dwóch ludzi
Jego i ciebie. Reszta? Trupy.

To spotkanie „człowieka“ jedynego człowieka z otoczenia, który satrapie rzuca w twarz rękawicę, to *„voila l'homme!“* Kaliguli, jego poznanie pierwszego opozycjonisty z ducha, rewolucjonisty z ducha, a po tem poznaniu wzbudzenie w nim właśnie, współczucia—głębokiej litości ku sobie, to jest jedyna radość żywota posępnego i ponurego zdechlaka na cesarskim tronie. Jasny promień jakby jakiejś szczęśliwości nieznanej pada na tego „żywego trupa“ cesarskiego. Ale dzieje się to wtedy, gdy już się pod nim zachwiały fundamenty nieograniczonej władzy, już rusztowanie trzeszczy, już Rzym zgorączkowany, wzburzony, ośmielony, zuchwały, pomrukuje chrypliwie i wyciąga kosmatą łapę rewolty po swą nową zdobycz. Widomą głową malkotentów staje się stryj Kaliguli Klaudjusz. Jeszcze *prestige* i *régime* zwyrodniałego, nieszczęsnego mizantropa podtrzymuje terrorem Protogenes, taki niby „gradonaczelnik Petersburga“, ochrany, „uśmieritiel“ krwawy Protogenes. Jeszcze żelazna ręka Protogenesa cięży nad stolicą. Jeszcze „germańskie straże“ wierne są temu, co zawsze wierzył i znał *mores* przed germańskimi żołdakami, umiał zwyciężać lichych wschodnich „Partów hordy“, ale przed Germanami drżał...

... a szedł
Ze wszystkich stron,
Otoczon strażą, roześmiany
I jak zwykle, skoro udaje, że drwi
A w piersi dech mu ze strachu zamierał.

A zamierał dech temu „Tymonowi“ na tronie, temu demonowi na tronie, temu... „nie, nie potwór tylko człowiek...“ dlatego, że już w wojsku, w centurjach, w legjach choć tak przekarmianych i pieszczonych przez zdziczałego despotę, już się zaczynała szerzyć *febris* niezadowolenia, znudzenia, zniecierpliwienia. Płomienie buntu z cywilnej ludności (*cives Romani*) już się przerzucały na *manus militaris*. Rozmyślnie, niebacznie, ale perwersyjnie igrający z niebezpieczeństwem Cezar, sam też już zniecierpliwiony powolnością, kunktatorstwem nadchodzącego *Fatum* zaczyna zadzierać i z tą siłą, na której jest całym ciężarem swej niepopularności oparty. Kaligula raz po razu drażni, szyderstwem właśnie tego reprezentanta imperatorskiej przemocy, szefa swojej „ochrany“, Protogenesa i to wtedy, kiedy Protogenes właśnie go ostrzega:

..... A ty?
Co ty wiesz Sybillo natchniona,
Tyłek podobny do tyłka Katona
I więcej nic....

Prowokowany przez swego pana groźny wódz pretorjanów, traktujący imperatora w cztery oczy jak zgrymaszonego bękarta, jak chorą lalkę, jak śmieć, jak wiór, jeszcze go na godzinę przed utrupieniem poucza:

A od początku w uszym ci kładł,
Że kto na pięści oprze swój byt,
Temu wolno deptać prawo,
Urzędy i przywileje
I to wszystko, co sprawia, że człowiek głupieje,
Ale przeciwko pięści
Zwracać się nie wolno,
Bo kto pięścią włada,
Ten tylko od pięści pada,
Więc szanować musi pięść

Nieszczęsny, chory nędznik o cezarycznej imaginacji i woli cezarycznej oprócz pięści, i to germańskiej pięści, nie szanował nikogo. Odkąd życie swoje i wspaniałą karjerę z tą germańską pieśnią związał, odtąd w germańskich żołdakach widział jedynego gwaranta swojego imperatorskiego majestatu. Rzymem i Rzymianami gardził jak carowie z dynastji Holstein-Gottorp gardzili swoimi Słowianom. Aż się doigrali, doigrali.

Kaligula pada wreszcie, skłóty sztyletami jak rzeszoto, ryjąc twarzą w swej własnej, czerwonej, zatrutej posoce, jusze. Haniebnie kończy się jego żołdackie panowanie. Niema pod ręką dla obrony i ratunku swoich Germanów wtedy, kiedy właśni rodacy, rozwścieklenі szałem chorego furjata, pętają go jak dziką bestję, jak pijaną hyjenę i dławią i duszą i deptają gadzinę, co zbyt się rozpanoszyła i zbyt wyzywała cierpliwość bogów czy Boga.

Przepysznemi akordami kończy K. H. Rostworowski swą wstrząsającą symfonję patetyczną, tak spółczesnym Polakom zatajoną, nieuznaną, nieznaną.

Napisał ją zaś lat temu: Trzynaście.

Podczas wojny narodów europejskich z Germanami,

na wsi polskiej która zwała się: Góry.

ADOLF NOWACZYŃSKI

ŚWIĘTA ELŻBIETA

W kwiaty chleb Ci się zmienił,
kiedy chyłkiem, nocą,
popod nieba gwieździsty, migocący sklep
wynosiłaś swą litość
wązką furtą w murze.
...A ja niosłam róże — róże — róże...
Zmieniły mi się w chleb...

BEATA OBERTYŃSKA

Odnów — 1929.

NA WIDOWNI

Referendum. — Oszołomienie tematami. — Rozmowy policji z prasą. — „Czas“ lubi legendy. — Jak legenda się robi, a jej jest strona odwrotna.

ODROCZENIE Sejmu na dni 30 okazało się porzebne na to, aby przez ten czas rząd, nie mający zaufania do delegatów, mógł porozumieć się bezpośrednio z wyborcami, nawet więcej z całą ludnością. Najszerzej pomyślane *referendum*. Posłużyły do tego celu sale wynajęte, radjo z głośnikami i prasa.

Od chwili, kiedy p. minister spraw wojskowych podzielił się z publicznością swemi wspomieniami o czynie historycznym na placu Grzybowskim z przed lat 25, nieprzerwanym ciągiem słuchamy mniej lub więcej poufnych wynurzeń przedstawicieli rządu. Dyskusja stała się publiczna, zapanowała jakaś atmosfera wylewności, rzec można poufałego do opinji publicznej stosunku, co konsekwentnie pociągnąć powinno otwartość wzajemną słuchaczy, nie dającą się zatamować przez cenzurę. Gdyby tak jeszcze ze 30 dni, ciekawa rzecz do czegobyśmy się dogadali. Skoro mamy wybierać wszyscy prezydenta, dlaczego nie mamy wszyscy o polityce rozmawiać?

Publiczność jest rozochocona, roześmiana, boć to zaszczyt niemały taka bezpośredniość. Ludzie staroświeccy dziwują się niepraktyczności: dla czego najmować kosztowne sale, kiedy jest tak wygodna sala sejmowa? Nie odczuwają oni ducha czasu. Nie rozumieją jeszcze tego, że jest to czas powszechności radjowej, który przez głośnik woła do żyjących: do wszystkich, wszystkich *(wsiem, wsiem, wsiem!)*. Są nawet tacy socjaliści, którzy od czasu Grzybowa mieli na celu „państwo socjalistyczne“, a radziby teraz jeszcze bawić się ceremonjałem demokratyczno - parlamentarnym. Świat poszedł już dalej. Dziś jest tylko państwo — nic poza tem: ludność państwowa, wychowana na „państwowców“ a na czele człowiek, darowany od „dobrego Pana Boga“, jak określił minister wyznań i oświecenia publicznego, p. Czerwiński.

Taki ma być najnowszy fason psychiki i całego ustroju. Trzeba się wmyśleć w rozwój pojęć ustrojowych w Rosji od Piotra Wielkiego do czasów ostatnich, aby zrozumieć śmiałość tej syntezy.

Umysły są wogóle oszołomione bogactwem materjału do rozważań, sypiącego się w postaci syntez i śmiałych pomysłów z dziedziny wiedzy państwowej, gospodarczej, wychowawczej i historycznej, a szczególnie w postaci wycieczek polemicznych i chwytów.

Nie sposób objąć razem wszystkiego, co słyszeliśmy. Mówili: pp. Świtalski, Car, Czerwiński, Składkowski, Boerner; dał się słyszeć sam p. Moraczewski, pp. Jagrym-Maleszewski, nawet p. Jaroszewicz. Dwaj ostatni zaatakowali prasę, jakby nie dość było dekretów. Rozmowa z pierwszym z nich skończyła się wyrokiem, skazującym trzech redaktorów na trzymiesięczne więzienie. Jak to było?

Był bankiet (ach te bankiety!) z powodu otwarcia szkoły dla policjantów w Mostach Wielkich. Do prasy dostała się przez „Myśl Niepodległą“ wiadomość, jakoby gospodarz bankietu, p. komendant policji Jagrym-Maleszewski zelżył przedstawicieli prasy, posyłając w ich stronę pogróżki. P. komendant publicznie temu zaprzeczył. Na wytoczonym przez niego szeregowi wydawnictw łącznym procesie sprawę „Myśli Niepodległej“ (która ma świadków dostarczyć) sąd grodzki odroczył, a trzech pozostałych redaktorów, którzy stamtąd rzecz przedrukowali i na tamtych świadków liczyli, sąd, nie odkładając rozpraw do czasu sprawy głównej, skazał na więzienie. Nazajutrz po tym wyroku Syndykat dziennikarzy warszawskich ogłosił komunikat, z którego wynika na podstawie zeznań świadków „niewątpliwy fakt obrazy prasy przez płk. Jagryma-Maleszewskiego“. Bardzo będzie interesujący przebieg tej rozmowy.

P. Komisarz Rządu Jaroszewicz też nie pozbawiony jest temperamentu. Z powodu alarmu, jaki się podniósł w społeczeństwie w sprawie zagrożonej wolności słowa, p. Komisarz stołeczny zabrał głos w prasie, aby zaręczyć, że władza „ogranicza się ramami ściśle zakreślanemi przez rozporządzenie Prezydenta Rzplitej“.

Ale...

— A czy nie wystarczyłyby czasem zwykłe sprostowania?

A na to przedstawiciel rządu majowego:

— „Do tego wymagane jest pewne poczucie praworządności a redaktorów“...

Jak wygląda rzeczywistość, pisaliśmy o tem parokrotnie. Przytoczę jeden przykład. W sezonie letnim zamieściliśmy w rubryce „Na marginesie“ wiadomość o tem, ile kosztuje pobyt w Biarritz tego, kto pojedzie tam samochodem z rodziną i sekretarzem i stanie w hotelu Palace. Komisarjat nakazał konfiskatę tej notatki zapewne dlatego, że bawił tam wówczas p. Świtalski, o nim jednak nie było wzmianki. To rzecz sama (która kosztuje wydawnictwo kilkaset złotych), a forma, owe ramy dekretu „ściśle przestrzegane“? Ani zawiadomienia na piśmie, za co dokonano zajęcia, ani oddania tego „przestępstwa“ sądowi. Do tej chwili od 21 lipca.

Pan Jaroszewicz mówi o figlach i poczuciu praworządności prasy. Prasa przekaże potomności bogatszy materjał o figielkach wesołej twórczości „sanacyjnej“. Historja zapewne wiele osób usprawiedliwi ewangelicznie tem, że „tworzyły“ w stałem podnieceniu, niejako uniesieniu improwizacyjnem, które się wymyka z pod kontroli refleksji, a cóż dopiero, gdy jednostka działa na rachunek sił wyższych, nie zdających żadnego rachunku przed nikim.

Najpraktyczniej postąpił „Czas“, bo zgóry sam się skonfiskował na wszystkie czasy i na wszystkie rządy. Bardzo jest zgorszony, że istnieje opozycja, narażająca się na niezadowolenie ze strony władz i na konfiskaty.

— „Nie wolno — pisze w nr. 276 — poniewierać nawet legendą, gdy ona symbolizuje wielkość i majestat Ojczyzny“.

Jest w tem powiedzeniu jakiś gest krakowski *à la* Wyspiański. „Czas“ jest metafizyczny, jak wieczność, pożerająca pojęcie czasu. Pp. Estreicher i Beaupré ze swymi konserwatystami i realizmem politycznym, przymykają oczy, śniąc legendę.

Nigdy sobie nie wyobrażałem, że mogę żyć w czasach właśnie legendarnych, podczas robienia legendy. Odsuwałem zawsze legendę w tył czasów i błogo było mi myśleć, że Popiel już był i że nie robił legendy na mojej skórze przy pomocy cenzury. Pamiętam wszakże czasy Popiela (ale Pawła) w „Czasie“, kiedy ten dziennik umiał jeszcze od-

czuwać realnie wielkość i majestat Ojczyzny bez pomocy legendy. Teraz płynie na jej obłoku.

Redaktor Estreicher zamierzył się raz na legendę przez pomyłkę, mianowicie na legendę placu Grzybowskiego. Ale ręka mu uschła i odtąd lewą błogosławi wszelkiej legendzie generalnej, chciałem powiedzieć — pułkownikowskiej.

Jak się robi legenda? Przyjrzyjmy się „Czasowi" i innej prasie „sanacyjnej". Czyni się gwałt koło rzeczy fikcyjnych. Mówi się i pisze wkółko o czemś, co nikogo z tych, co mówią i piszą, nie obchodzi, w tym celu, aby tam skierowana uwaga zmyliła czujność co do rzeczywistości. W ten sposób usuwa się prawdę, a zostaje czysta legenda.

O cóż chodzi w danej chwili? Jeśli się dobrze wsłuchać w prasę „sanacji", chodzi o to, żeby usunąć bardzo poziomą rzeczywistość, bo finansową. Cała kampanja przeciwko Sejmowi ma na względzie to, że jest on organem kontroli.

Byłoby zaiste dziwne w czasach materjalistycznego pojmowania dziejów, aby umysłowości typu właśnie socjalistycznego, która to pojmowanie narzuciła, tak gwałtownie zależało na robieniu legendy. Pan Moraczewski, nie tający się bynajmniej z tem, że dąży do ideału państwa socjalistycznego, ze szczerością człowieka pewnego siebie powiada:

— Co wy mówicie o przekroczeniu budżetu o 500 mil. Myśmy miljard już wydali ponad normę, zabierając go burżuazji.

Wygląda to istotnie jak legenda, a to jest prawda konkretna. Może jednak o niej mówić z dumą tylko socjalista, który tak samo chwalił się zdobyczami pieniężnemi w czasie rewolucji, ale inni, przyplątani, muszą zagadywać tę prawdę różnemi rzeczami, bo nie wiedzą, jak ten fakt pogodzić z istniejącym ustrojem „burżuazyjnym" i obrócić go w legendę.

Mamy przed sobą konflikt dwu ustrojów państwowych, z których jeden na papierze, a drugi, faktycznie wprowadzany, nie zostawił już ani jednego organu na swojem miejscu w stanie właściwym.

I to jest odwrotna strona legendy.

DIGAMMA

GŁOSY

STANOWISKO MŁODZIEŻY

Otrzymaliśmy z Poznania, z prośbą o wydrukowanie następujące oświadczenie:

W dniu 11 listopada r. b. publiczność zebrana w sali Domu Ewangelickiego w Poznaniu, wśród której znaczną część stanowili studenci Uniwersytetu Poznańskiego i Wyższej Szkoły Handlowej, głośnemi protestami uniemożliwiła p. Juljuszowi Kaden-Bandrowskiemu wygłoszenie odczytu p. t. „Walka o nową kobietę".

W związku z faktem tym przedstawiciele niżej podpisanych stowarzyszeń akademickich, skupiających ogromną większość młodzieży obu wyższych uczelni Poznania, uważają za swój obowiązek złożyć wobec społeczeństwa oświadczenie następującej treści:

Wystąpienie młodzieży akademickiej na odczycie p. Kaden-Bandrowskiego było jednym z przejawów walki o odrodzenie duchowego życia Narodu — walki, którą młode pokolenie podjęło i pragnie doprowadzić do zwycięskiego końca — świadome, że prawdziwa wielkość Narodu z takiego podłoża wyrasta.

Ostatnie zwłaszcza lata są w Polsce widownią coraz silniejszego naporu żywiołów, godzących w podstawowe zasady cywilizacji rzymsko-katolickiej i zatruwających życie społeczne pierwiastkami groźnego rozkładu.

Dwie są główne dziedziny, w których napór ten przejawia się ze szczególną siłą.

Pierwsza — to dziedzina życia rodzinnego i obyczajowego. Już sama wojna i zmienione po niej warunki stworzyły podłoże, podatne dla rozluźnienia więzów rodzinnych i obyczajowych. Niezależnie jednak od tego rozwija się świadomą i celową propagandę, której wynikiem jest dalsze jeszcze pogarszanie istniejącego stanu rzeczy. Propaganda ta idzie coraz częściej przez teatr, kino, prasę, lokale rozrywkowe, mnożą się pisma brukowe, wydawnictwa pornograficzne i niezdrowe w swej tendencji odczyty.

Młodzież akademicka nie mogła pozostać obojętną na coraz większe rozzuchwalenie czynników, prowadzących tę akcję. W Poznaniu dała już temu wyraz przez czynne wystąpienie przeciw szerzeniu pornografji z desek scenicznych — obecnie zaś przez protest przeciw próbom podważania instytucji rodziny przy pomocy odczytów. Wolność słowa i poszanowanie cudzych przekonań, cenione są i przez nas, nie mogą jednak przekraczać granic, wyznaczonych przez dobro ogólne.

Druga dziedzina — to dziedzina twórczości kulturalnej i literacko-artystycznej. Od lat kilku jesteśmy świadkami coraz silniejszego przenikania obcego nam całą swą psychiką żywiołu żydowskiego do wszystkich gałęzi twórczości polskiej. Tak n. p. wprowadzanie pisarzy pochodzenia żydowskiego do literatury polskiej grozi w dalszych konsekwencjach zupełną zatratą jej narodowego charakteru. Równocześnie zalew wyższych uczelni przez lepiej gospodarczo sytuowanych studentów żydowskich, wytwarza bardzo smutne perpektywy co do składu przyszłej inteligencji polskiej.

Zdając sobie z tych niebezpieczeństw sprawę, młodzież uważała za swój obowiązek i tu uderzyć na alarm. Już na wiosnę r. b. Poznański Komitet Akademicki, jako naczelna reprezentacja studentów naszego środowiska, wystąpił przeciw wystawieniu w Poznaniu sztuki żyda Antoniego Słonimskiego. Jak słusznem jest stanowisko, zajęte przez młodzież wobec pisarzy żydowskiego pochodzenia, usiłujących wkraść się do literatury polskiej, dowiódł m. i. ostatni wiersz Juljana Tuwima, będący apologją buntu i zdrady własnego kraju.

W podjętym boju nie spoczniemy.

Zjednoczeni we wspónej walce o wielkość Ojczyzny, wystąpimy przeciw wszystkiemu, co walce tej stanie na przeszkodzie.

Poznański Komitet Akademicki, Naczelna reprezentacja studentów Uniwersytetu i Wyższej Szkoły Handlowej, Reprezentacja Studentów Wyższej Szkoły Handlowej, Związek Polskich Korporacyj Akademickich, Poznańskie Koło Międzykorporacyjne, Zjednoczenie Akademickich Korporacyj Chrześcijańskich, „Bratnia Pomoc" studentów Uniwersytetu Poznańskiego, „Bratnia Pomoc" studentów Wyższej Szkoły Handlowej, Organizacja studentek, Konferencja Środowiskowa Kół Naukowych, Zrzeszenie Akademickich Kół Prowincjonalnych, „Młodzież Wszechpolska"—Związek akademicki, Polska Akademicka Młodzież Ludowa, Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie", „Filarecja" — Związek Akademicki, K! Roma K! Agraria K! Viritia, Sodalicja Marjańska Akademiczek, Sodalicja Marjańska Akademików, Akademickie Koło Misyjne, Pierwsza Żeńska Drużyna harcerska, Akademicka Drużyna Harcerska, Akademickie Koło Harcerskie, Związek Akademików Abstynentów.

ZE ŚWIATA

Polskim Chrześcijańskim-Demokratom, w których czystość zamiarów bezwzględnie wierzy poświęca ten artykuł

Autor

KSIĘGARNIA Bossarda w Paryżu wydała pod nieco niezręcznym tytułem *) książkę p. Augusta Cavalier, zbiór artykułów dziennikarskich, drukowanych w ostatnich czasach w „*Semeur de l'Ile-de-France*", piśmie tego samego kierunku, co paryski „*Figaro*" i „*Ami du Peuple*", a prowincjonalne „*Avenir*" i „*La Croix*", t. j. będącego organem francuskiej narodowej i katolickiej prawicy. Jak wszystkie tego rodzaju wydawnictwa, zbierające w jedną całość artykuły, pisane pod wrażeniem chwili, chwytające na gorącym uczynku i fakt i opinję, pozwala ona wniknąć w pulsujące w łonie społeczeństwa francuskiego prądy i zasługuje już z tego względu na uwagę.

Książka skierowana jest przeciw ludowym demokratom (*démocrates populaires*). Stronnictwo to, nieliczne, w kwestjach społecznych znacznie bardziej radykalne od prawicy, przelicytowujące nawet niekiedy w żądaniach społecznych i lewicę, jest stronnictwam wybitnie chrześcijańskiem (choć autor, jak widzimy, zaopatruje w tytule tę jego cechę w znak zapytania) i nosi też często w prasie nazwę chrześcijańskiej demokracji, dawaną mu narówni z nazwą pierwszą. Jednym z jego najwybitniejszych organów jest „*Ouest-Eclair*", jednym z najwybitniejszych przywódców dyrektor tego pisma, ksiądz Trochu. Siłę jego stanowią dwa związki zawodowe: *Fédération des Syndicats des cultivateurs cultivents*, grupujący wyłącznie rolników, którzy uprawiają ziemię własnoręcznie, i *Ligue des paysans de l'Ouest*. Na czele Federacji Syndykatów stoi drugi z najwybitniejszych przywódców stronnictwa, ksiądz Mancel. Największe wpływy posiada stronnictwo w katolickiej Wandei i Bretanji.

Artykuły p. Cavalier, podane w książce bez przytoczenia ich dat, ułożone są według treści, aby dać tem jaśniejszy przegląd poglądów autora.

Książka stwierdza przedewszystkiem fakt: pomiędzy masonerją (z jej pacyfizmem i demokratyzmem) a Niemcami istnieje sojusz, skierowany przeciwko Francji. Podstawy i cel sojuszu, powiada autor, są osłonięte tajemnicą.

W tem miejscu można zrobić uwagę, że istnieją jednak pewne dane, które rąbek tej tajemnicy odsłaniają: fakt, że masonerja, która we Francji, jak sama stwierdza, jest masonerją triumfującą, w Niemczech ma jeszcze dużo do zyskania, rzuca w każdym razie na tę tajemnicę pewne światło.

Minister spraw zagranicznych Briand, powiada następny artykuł (autor, należący do prawicy, jest przeciwnikiem rządu), jest narzędziem w ręku masonerji. To, że jest masonem jest zresztą we Francji publiczną tajemnicą. Polityka jego zatem idzie nazewnątrz po linji dążeń wielkiej finansjery, masonerji — Niemiec, wyrażając się w pacyfizmie lokarneńskim, na wewnątrz zaś dąży do rozbicia narodowej opozycji. Występują tendencje do przeciwstawienia nacjonalistom francuskim partji ludowych demokratów, w celu wprowadzenia niezgody pomiędzy dwa obozy katolickie i popchnięcia części przynajmniej katolików francuskich w objęcia Białej międzynarodówki, wytwarzającej u góry to braterstwo między Francją i Niemcami, które propagują u dołu Briand i Albert Thomas.

Autor stwierdza w książce, że nie jest w poglądach na rolę ludowej demokracji, z której masonerja chciałaby zrobić swoje narzędzie, odosobniony. W maju 1928 r. Liga przeciwżydowska (*Ligue Antijudéomçonnique*) zorganizowała w Wersalu konferencję, podczas której księża Boulin i Hoffet mówili o tem, że masonerja, która sama zostaje we władzy żydowstwa, posługuje się demokracją chrześcijańską, aby oddziałać na te punkty, gdzie sama na wpływy zbyt słabe. Mówiono wówczas o tem, że masonerja uprawia grę podwójną, z jednej strony atakuje katolicyzm w sposób brutalny, z drugiej stara się sfery katolickie przeniknąć i podminować. Ks. Hoffet, który spędził długi czas w Centralnej Ameryce, twierdził, że ten sam zupełnie sposób stosowany był, zanim nie doprowadził do jawnych prześladowań w Meksyku.

P. Cavalier przytacza dalej, że w tym samym mniej więcej czasie organ umiarkowany i nie idący na lep sensacji, jak „*Nation*", podawał sensacyjną wiadomość, że grupa Różokrzyżowców czyni starania u wybitnych osób z pośród katolików o przekonaniach demokratycznych, celem utworzenia z ich pomocą grupy „konserwatystów społecznych" (*sic*), której racją istnienia byłoby poddanie jej Wielkiemu Wschodowi Francji.

Nic dziwnego, że wobec takich kursujących sądów i pogłosek, opinja sfer narodowych francuskich zwraca podejrzliwe oczy na związki katolickie w Niemczech, jako na te sfery niemieckie, które w dziele zbliżenia pomiędzy Niemcami i Francją odegraćby musiały rolę. Jedno z pism przypominało niedawno, jak to 40 lat temu cesarz Wilhelm zainicjował politykę zbliżenia się do Kościoła Katolickiego i Stolicy Apostolskiej, kładąc koniec prowadzonemu przez Bismarka *Kulturkampf*'owi, a którą to politykę Bismark odrazu zaakceptował i przyjął w zrozumieniu atutów, jakie dawała Niemcom wobec Francji, idącej właśnie po linji rozdziału Kościoła od Państwa. Jednem z narzędzi tej polityki stał się wówczas—zdaniem autora — kardynał Ledóchowski (wuj dzisiejszego generała Jezuitów), ongiś ofiara *Kulturkampf*'u. Pierwszą wizytą, jaką złożył Wilhelm II podczas pobytu w Rzymie, była wizyta, oddana prześladowanemu niegdyś przez Bismarka kardynałowi.

Za zwolennika „orjentacji niemieckiej" w Watykanie uchodzi dziś, jak wiadomo, kardynał Gasparri.

Pod wpływem przeświadczenia o sojuszu masonerji z Niemcami, w szerszych kołach daje się wyczuć obawa, czy masonerja nie próbuje i w Niemczech przeniknąć wpływami do sfer katolickich i wygrać istniejące wśród sfer katolickich sympatje dla Niemiec na swoją korzyść. Nie bez znaczenia jest tu informacja „*Frankfurter Zeitung*" (o której „Myśl Narodowa" podała w nr. 36 z dn. 18 V.III notatkę) o kilku artykułach, wyszłych z pod piór Jezuitów, a mówiących o pewnych tendencjach do zbliżenia pomiędzy sferami katolickiemi a masonerją. Zdaje się, że właśnie masoni chętnie szerzyliby przeświadczenie o zbliżeniu pomiędzy Kościołem a Lożami. P. Cavalier przytacza zdanie, jakie wygłosił dn.

*) *Les rouges „chrètiens"?* Paryż, Bossard, 1929.

26 maja 1927 r. senator i przewodniczący Rady Wielkiego Wschodu, p. Brenier, dotyczące właśnie stosunku Kościoła do masonerji. „Przez dwa wieki", mówił p. Brenier, „naszym największym wrogiem był Kościół" (p. Brenier przemawia tu zatem w imieniu Lóż, Kościół był bowiem od dwóch wieków wrogiem Lóż, nie wrogiem Francji; jednocześnie uderza w dalszym ciągu tego przemówienia identyfikowania sprawy Lóż i sprawy Republiki), „zdaje się, że dziś uznaje on swój błąd. Kardynał Gasparri stara się stworzyć *modus vivendi* z Republiką i zawrzeć z nią konkordat, któremu Loże nie tylko nie sprzeciwiają się, ale któremu życzą powodzenia".

Na ostatniej konferencji Ligi Antyżydowskiej, ks. prałat Jouin uznał za stosowne przeciwstawić się tego rodzaju interpretacjom polityki kardynała Gasparri'ego, przypominając, że wszyscy Papieże, od Klemensa XII począwszy, potępili masonerję i zaznaczając, że kardynał Gasparri w swojem *Breve* w przedmiocie pracy ks. Jouin „Wojna Masońska" dał poznać bardzo wyraźnie, jak dalekim jest od wszelkiego zbliżenia się z masonerją, która przeprowadziła laicyzację Francji. Aby przeciwdziałać tego rodzaju pogłoskom, katolicy francuscy postanowili szerzyć za pomocą prasy znajomość encykliki Papieża Leona XIII, potępiającej masonerję.

Należy jeszcze przyjrzeć się, jak wygląda w praktyce interpretowana w sposób, o jakim była mowa, a łączona przez przeciwników z szerokiemi planami polityki zarówno niemieckiej, jak masońskiej, działalność ludowych demokratów.

Przedewszystkiem, stwierdzić należy, że organ ich „*Ouest-Eclair*", ten organ, o którym Francuzi mówią, że nosi nazwę Zachodu, gdy pozostaje pod wpływami Wschodu, rozwijać począł tendencje pacyfistyczne, usprawiedliwiając Niemcy z popełnionych win i propagując stosowanie — właśnie do Niemiec, przygotowujących odwet — zasady miłości bliźniego, że więc iść począł po linji zbliżenia pomiędzy Francją i Niemcami. Następnie, podczas gdy dawniej kwestja religji stanowiła linję podziału między stronnictwami francuskiemi, demokraci chrześcijańscy przekroczyli obecnie tę linję, przechodząc do obozu przeciwników i idąc w wyborach ręka w rękę na Zachodzie z masonerją i socjalistyczno-republikańskimi katelistami po połowie z socjalistami i komunistami. W katolickiej Wandei, o ile katolicy pójdą razem, mają bezwzględną większość. Tam właśnie przeciwstawiono nacjonalistom ludowych demokratów, i dziś Wandea, jako placówka katolicyzmu, jest naogół straconą. To samo odnosi się do Morhiban w Bretanji, de Ille-et-Vilaine, Loiret, Taru, Seine-et-Oise.

Jednocześnie z ostrem potępieniem prasy nacjonalistycznej spotkała się polityka społeczna ludowych demokratów, którym stawiono zarzuty, że rozdmuchują demagogję, licytując się w sprawach społecznych z lewicą. Wystąpił przeciw nim prezes Federacji Narodowej Katolickiej, jenerał Castelnau, zaś potępił ich w liście, który spotkał się z uznaniem Stolicy Apostolskiej „za przygotowywanie na Zachodzie, Północy i Wschodzie Francji rewolucji socjalnej" Mgr. Ruch. Wzięły ich natomiast w obronę „*Informations Sociales*", organ C.G.T. rewolucyjnej, którego dyrektorem jest p. Charles Dulat, najznakomitszy uczeń Alberta Thomas, a w swoim czasie, na zebraniu w Lille, gdzie ludowi demokraci szli podczas strajku bankowców razem z komunistami, wyraził im uznanie i wdzięczność z czego nie musieli zapewne być radzi, przywódca komunistów. Wychodząc z punktu widzenia nie katolickiego, ale francuskiego narodowego, zwalczają ich politykę protestanci francuscy, a mianowicie, pastor Noël Vesper w książce „*Le Protestantisme, l'Eglise et la Patrie*" i, pośrednio, pastor Louis Lafon w swoich drukowanych w „*Temps*" „*Lettres de Province*".

Na zakończenie swej książki o chrześcijańskich demokratach p. Cavalier przytacza artykuł swego kolegi po piórze z czasopisma „*Intérêt français*", który ostrzega ich przed neofitami, twierdząc, iż znajdują się wśród neofitów jednostki, które są poprostu ajentami skierowanej przeciw Kościołowi kampanji i w tym celu tylko w jego szeregi wstępują.

Czytając książkę p. Cavalier nie należy ani przez chwilę zapominać, że mamy tu do czynienia z artykułami, pisanemi na gorąco, w ogniu prasowej walki, oraz że ocena działalności chrześcijańskich demokratów jest tu, jak zawsze z konieczności w tego rodzaju polemicznych wydawnictwach, jednostronną. Istniejące jednak w społeczeństwie francuskiem poglądy na wpływy, jakim ludowi demokraci ulegają, zasługują na to, by się z niemi zapoznać.

Paryż M. WIERZBINA

WYCHOWANIE NARODOWE

TROSKI P. MINISTRA OŚWIATY

W SZEREGU mów ministerjalnych przyszła kolej i na pana ministra oświaty. Jest on w nieco trudnem położeniu, bo jako czwarty z kolei ma wygłosić „kazanie" na wałkowany do znudzenia temat „sanacyjnej" reformy konstytucji, który ma, jak wiadomo, tylko dwa motywy: 1) jedyna zmiana, jakiej potrzebuje konstytucja, to silny rząd (w zrozumieniu „sanacyjnem") i 2) silny rząd — to poprostu rządy — Jego.

Żeby jakoś rozpędzić nastrój nudy, który coraz nagminniej panuje wśród słuchaczy mów ministerjalnych, pan minister oświaty te dwa aksjomaty „sanacyjne" demonstruje z kolei na nowym przedmiocie, na sprawie wychowania publicznego. Pragnie mianowicie udowodnić, że wszystkie wady wychowania publicznego w Polsce mają źródło w Sejmie: nie jest on zdolny do jednolitej ideologji oświatowej, zmienia zbyt często ministrów, biurokratyzuje wychowanie, słowami paraliżuje działalność ministerstwa oświaty.

Będzie inaczej dopiero wtedy, kiedy zmienimy konstytucję na sposób „sanacyjny".

Nie uwielbiamy sejmowładztwa; ale wyznać musimy, że argumentacja p. ministra nie bardzo nas przekonywa w świetle faktów. Konstytucja nasza ma zapewne liczne wady, ale właśnie ona przecie zapewnia olbrzymią swobodę szkolnictwu przez zasadę niezależności władz szkolnych od władz administracyjnych. Uchwalił to Sejm, ten sam Sejm, który już uprzednio dał ministrowi oświaty ustawę ramową z 4 czerwca 1920 r. o tymczasowym ustroju władz szkolnych. Ustawa ta, uchwalona zresztą na wniosek ministerstwa W. R. i O. P., dała ministrowi oświaty niezwykle szerokie kompetencje w stosunku do organów podwładnych, zupełną niezależność od administracji

politycznej, a przeto jeszcze szeroką możność opierania się o czynnik społeczny, którego p. minister tak bardzo pożąda w wychowaniu. Nie Sejmu to wina, że rozporządzenia rządów pomajowych bardzo znacznie ograniczyły samodzielność ministra oświaty i kuratorów na rzecz administracji politycznej, nie Sejm też winien, jeśli ministrowie oświaty tak niechętnie powołują rady szkolne okręgowe, ów prawem przewidziany czynnik współpracy społeczeństwa z rządem, nie Sejm wreszcie zawinił, że szkolnictwem pomajowem coraz mniej zresztą rządzi minister oświaty, a coraz więcej— w praktyce — wojewodowie i starostowie.

Nie Sejm ma rządzić szkolnictwem, tylko minister. Rzeczą ministra jest reprezentować zdecydowaną ideologję oświatową i bronić jej przed Sejmem, jako emanacją społeczeństwa, które musi przyjąć lub odrzucić zdecydowany program oświatowy rządu. Skargi na rzekomy brak ideologji oświatowej w Sejmie, jako całości wydają się nam zatem raczej dziw ne.

Co więcej, są one nawet niesłuszne, bo któż jeśli nie Sejm, pono bez pomocy rządu, dzięki zgodnym wysiłkom p. p. St. Grabskiego i Thugutta, dał państwu jedną z najważniejszych ustaw oświatowych w r. 1924, dokumentując ideologję zgodnego współżycia obywateli Rzeczpospolitej przez wychowanie dzieci we wspólnej szkole dwujęzyczej?

Zdaniem p. ministra Sejm zawinił, że zbyt często zmieniał ministrów, a sam p. Czerwiński jest w Polsce już 20 ministrem oświaty. Liczba odpowiada faktom, jeśli policzymy od r. 1917; fakty jednak nie potwierdzają niestety bynajmniej zasadniczej tezy p. ministra, jeżeli przypomnimy, że w ciągu tych dwunastu lat na trzyletni okres pomajowy wypada aż 6 ministrów Oświaty!

Trudno o lepszy przykład mimowolnej ironji, niż ten, który daje arytmetyka p. ministra oświaty w stosunku do tezy silnych rządów w rozumieniu „sanacji".

Niepomny swego błędu rachunkowego, p. minister mówi z dużem przekonaniem i z większą jeszcze — pewnością siebie:

„Ciągłe zmiany rządów do maja roku 1926 uniemożliwiały jakąkolwiek stabilizację w dziedzinie wychowania publicznego. Dopiero od drugiej połowy roku 1926 poczęły chodzić po ministerstwie podmuchy nadziei, poczęto wyciągać z archiwów leżące tam od roku 1918 projekty ustaw zasadniczych".

„Sanacyjne" „podmuchy nadziei" pozostały na szczęście, jak dotąd, podmuchami. Niedobrze jest na „podmuchach nadziei" opierać dowód o błogosławionych skutkach „sanacji" dla szkolnictwa, jeszcze gorzej zaś jest upajać się temi podmuchami do tego stopnia, że zapomina się całkowicie o pracy poprzedników. Toć obecny ustrój szkolnictwa — zły czy dobry, dzieło głównie ministrów Ponikowskiego i Łopuszańskiego, jest jednak czemś grubo realniejszem, niż górne p. ministra nadzieje na przyszłość, a projekt ustroju szkolnictwa, który jako projekt komisji ministerjalnej z przedmową p. Dobruckiego chodzi po świecie i nie został dotąd przez Rząd wniesiony do Sejmu, nie jest dla nas niczem realniejszem, niż wniesiony do sejmu w r. 1926 projekt ustrojowy ministra St. Grabskiego.

Dowód, że dopiero „sanacja" przyniosła zbawienie i twórcze idee szkolnictwu, wydaje się nam tedy mocno nieudały; może lepiejby było, żeby takiemi argumentami nie deprecjonować słusznej zresztą idei silnego rządu.

(Dok. n.) WŁ. JAWORSKI

NAUKA I LITERATURA

Serce Władysława Reymonta dn. 4 grudnia r.b złożono uroczyście w murach kościoła św. Krzyża w Warszawie, w tym samym filarze, gdzie tablica z popiersiem J. I. Kraszewskiego. Uroczystość odbyła się staraniem Kasy Literackiej oraz Tow. Literatów i Dziennikarzy. Zajął się całem dziełem komitet wykonawczy pod prezydencją prez. miasta Słomińskiego, a przy głównej pomocy mec. St. Rodkiewicza. Uroczystość odbyła się przy udziale Prezydenta Rzplitej., nabożeństwo celebrował arc. Kakowski, mowę wygłosił biskup Szlagowski. Obecny był cały świat literacki. Przy poświęceniu tablicy Reymontowej piękne organy odegrały marsza żałobnego Szopena, którego serce spoczywa w sąsiednim filarze kościoła. Dwaj wielcy artyści mazowieccy okryli chwałą sztukę polską, obaj czerpiąc natchnienia z serca ziemi przez lud mazurski.

*

W Lublinie powstała myśl wzniesienia pomnika Jana Kochanowskiego. W r. przyszłym mija 400 lat od urodzin poety. Zmarł on w Lublinie 1584. Inicjatorami pomnika są: Lubelskie Tow. bibljoteki im. Łopacińskiego i Lub. Tow. Przyjaciół Nauk.

*

W łonie Tow. Naukowego w Warszawie fermentuje ambitna idea przekształcenia Tow. Naukowego na Warszawską Akademję Nauk. Nie wydaje nam się właściwą tendencja regjonalistyczna w tym zakresie. Akademja Um. w Krakowie, jako centralna instytucja i najwyższa instancja naukowa, za najcięższych czasów rozbiorów była symbolem jedności cywilizacji polskiej dla wszystkich dzielnic i dzisiaj nic nie stoi na przeszkodzie, aby faktycznie zadanie ogniska myśli naukowej spełniała.

*

Fundacja im. St. Popowskiego w Warszawie przyznała nagrodę 5.000 zł. za r. 1929 Aleksandrowi Świętochowskiemu.

SZTUKI PLASTYCZNE

SALON DOROCZNY

DUMA każdego Salonu Dorocznego polega na ilości, a nie na jakości. Pięćset trzydzieści dwa dzieła i trzystu artystów — jak na Warszawę, zasobny jarmark sztuki, ale krytyczne pisanie o nim przerasta pojemność czasopisma i cierpliwość ludzką, a nadewszystko — chybia celu. Wielka ilość artykułów z konieczności obniża poziom wystawy aż do nieprzekraczalnego *minimum*, a na tak płytkich wodach laguny, można jeździć sobie dla przyjemności płaską gondolą, ale już byle kuter krytyczny utyka na mieliznach. Że zaś (co do mnie) przebywam stale na parowcu oceanicznym, więc mogę tylko z pełnego morza, zdaleka taką rewję doroczną obejrzeć i... zasalutować.

Pracujcie, pracujcie — panienki i panie, młodzieńcy i panowie dojrzali! Praca wzbogaca. Niekoniecznie trzeba mieć kieszeń na myśli, gdy mówi się o wzbogacaniu. Praca ducha wzbogaca. Jeżeli was osobiście już wzbogacić nie zdoła, spłaci waszym spadkobiercom. W każdym razie w ogólnym dorobku kultury udział swój mieć będzie bodaj w małem ziarenku. Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka. Nawet ten pułkownik na ognistym rumaku może pogodzić się ze swoim portretem. Zgodą małe rzeczy rosną, niezgodą — wielkie niszczeją. Tegoroczny Salon Zachęty daje wzrusza

jący przykład zgody, posuniętej do kresów, wschodnich kresów możliwości. Szkoda, że nie posunął się równie daleko w kierunku kresów zachodnich. Lecz to już nie jego wina. Artyści większej miary naogół bojkotują Salon Doroczny. I obecnie wielu z nich nie zjawiło się wcale.

Doskonale rozumiem i odczuwam ludzi, którzy unikają tłumnych zebrań salonowych. W salonie tak samo, jak na ulicy, tłum tłumi jednostki, a o ileż więcej odczuwa się to w Salonie Sztuki, która z urodzenia jest arystokratką! Jako widz na widok arcydzieła w Salonie Dorocznym doznałbym tyleż przykrości, co przyjemności. Poco mieszać gorzką sól do słodyczy? Dzieło wielkie wymaga samotności, oddalenia, ciszy, dostojnego sąsiedztwa. A nawet mniejszej miary dzieła, ale z odrębnego świata wyrosłe, rzetelne i schludne, źle się czują i źle się przedstawiają w licznym tłumie dzieł bodaj tego samego poziomu. Jakość ginie w uściskach potwornego bałwana ilości.

Jakiż wobec tego można odnaleść rozsądny cel urządzania Salonów Dorocznych? Właśnie w poszukiwaniu odpowiedzi na to trudne pytanie trafiłem na placu Trzech Krzyży na wróbli wiec. Zleciało się szare bractwo, oblepiło tłumnie trzy drzewa i świergotało zapamiętale tak, że zagłuszyło cały ruch wielkomiejski. Oto ptasi Salon Doroczny! Od wieków dwa razy na rok — wczesną wiosną i późną jesienią — zlatują się wróble na swoje sejmy dla obgadania dwóch bardzo ważnych chwil w obrocie kuli ziemskiej dokoła słońca: zbliżania się zimy i lata. I nikt im sejmów tych nie rozpędza, nie zamyka i nie odracza. Co prawda nie mają spraw budżetowych, a biada cenzorowi, któryby pod drzewem sejmowem trzy minuty posiedział!

Otóż ten sejm szczęśliwej braci wróblej dał mi odpowiedź. Ludzie tak samo jak wróble posiadają naturalny pęd do sejmowania, a że artyści są ludźmi, zatem bieg tego syllogizmu prowadzi prosto do wniosku. Artyści, nadto, mniej od innych ludzi są cywilizacją zepsuci i bliżsi przyrodzie, stąd też bywają, jak wiadomo (np. w Paryżu) dwa co roku Salony—jesienny i wiosenny. W Warszawie w swoim czasie Zachęta również dwa rocznie Salony urządzała—jesienią i na wiosnę (punktualnie według obrotu ziemi!). Ale widocznie teraz już nawet do niej dotarła niszczycielska fala duszy żydowskiej, która chce, aby ludzie mieszkali na Talmudzie, a dla praw Ducha ma Szulchan-Arucha.

Uszanujmy zatem Salon Doroczny na jesieni. Co więcej, upominajmy się o wznowienie drugiego Salonu i niech będzie jeden jesienny, a drugi — wiosenny. Skoro liczne rzesze artystów chcą o jednej porze zlatywać się do Zachęty, dlaczego mamy im tego odmawiać? Owszem, unormujmy zloty według zegara astronomicznego. Niech i na wiosnę świergocą. A nic to nie szkodzi, że w sztuce ludzkiej istnieją nietylko wróble, ale i przekorne jaskółki, sępy, jastrzębie i sójki. Albo swoje mają sejmy, albo żyją samotnie, albo, jak „Rytm“ naprzykład, wybierają się bezskutecznie za morze. Gatunek ludzki wchodzi na wielkie rozdroże, co uwidocznia się wyraźnie i w dziedzinie sztuki. Gdy jedni, zawsze nieliczni, skazani są na radości i tragedje szczytów, innym, bardzo licznym, przysługują prawa wspólności i równości niżów szerokich.

A jakiż ma być stosunek szanownego krytyka do Salonów Dorocznych, jesiennych i wiosennych? Myślę, że nie ma on potrzeby stać bezpośrednio pod drzewem sejmowem. Dość, gdy zatrzyma się opodal — tak, aby całość była widoczna razem z krajobrazem. Jak-to miło, że nagie drzew gałęzie nagle uliścią się tysiącem skrzydełek trzepotliwych, że tysiąc gardziołków z milczącego drzewa czyni cudowną fisharmonję! Aż oto naraz umilkły... pewno im w wyobraźni łebków pierzastych przemknęło widmo ich marszałka — gawrona. Boją się, ale instynkt gromadny każe świergotać do upadłego, a zresztą — arcy-ważne nowiny: zima idzie! wiosna idzie! świat się odmienia! wieczysty powrót życia trwa! śmierć jest pozorna! państwa padają i powstają, a wróbli sejm jak odprawiał się, tak się odprawia niezmiennie według łuku ziemskiej orbity.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI.

TEATR

„REWIZOR“ GOGOLA

W ROKU 1926, w przededniu przewrotu majowego, wystawiono w ówczesnym teatrze im. Bogusławskiego „Rewizora“. Śmiano się z niewiarogodnej bajki Gogola. Wielki talent Gogola anegdotę uprawdopodobnił, ale wydawała się zawsze rzeczą niewiarogodną. Młody Chlestakow, szuler, hulaka lekkomyślny stał się przez pomyłkę panem sytuacji w jakiejś Pipidówce, który trzęsie miejscowym ustrojem społecznym.

Zdarzył się coprawda na początku w. XX podobny wypadek w Niemczech, że jakiś szewczyna z Koepenick odegrał z powodzeniem rolę Chlestakowa. W sztuce jednak wart zastanowienia symbol, a ten starczy, żeby zrozumieć zdarzenia na większą skalę, ale oparte na tym samym stosunku do rzeczywistości. W tym stosunku nie tyle ciekawy jest fakt istnienia Chlestakowa, ile możliwość takiego zużytkowania przez niego psychiki ludzi małych. Nie byłoby w dziejach narodów i w literaturze takich „rewizorów“, gdyby nie istniały ludzkie, wytworzone działaniem historycznem okoliczności.

Rewizor jest okrutną satyrą na epokę. Cóż winien nieodpowiedzialny Chlestakow? Historja potępi zawsze — jak Gogol uczynił—duszę środowiska, dopraszającą się bata uzurpatorów. Kiedy rewizor z nieprawdziwego zdarzenia wygłasza w domu horodniczego rodzaj odczytu o swoich przewagach jako dzierżyciela władzy—to słuchamy tego wesoło, ale dosyć pomyśleć o jego słuchaczach, zahypnotyzowanych durem służalstwa, a wpadamy w głębokości komedji dramatyczne.

„Rewizor“ ma pierwiastki wieczne i trafnie teatr upatrzył w nim walor aktualności. Błędem teatru jest, że zadaleko aktualizowanie sztuki posunął, wystawiając ją w kabaretowej gwarze Tuwima. Czyż Gogol potrzebuje takiego odświeżenia warszawskiego?

Nie można przecież spokojnie patrzeć na zamęt, panujący w pojęciach artystycznych. Skoro teatr uznaje potrzebę ubrać Chlestakowa w spodnie ówczesnego kroju, to tembardziej uznać powinien krój historyczny słowa. Nie wypada, żeby krawiec teatralny był lepszym znawcą epoki, niż kierownik literacki. Publiczność polska zresztą niema wcale ochoty poufalić się z p. Tuwimem w jego wulgaryzmie językowym. Jutro gotów nam coś przełożyć na żargon żydowski.

Był zdaje się zamiar zagrania komedji Gogola po fredrowsku, bez posmaku rosyjskiego. P. Maszyński w roli Chlestakowa stanął na takiej wyżynie artyzmu, że było

wszystko jedno, kto stworzył ten typ w literaturze, a lepszy był od Justjana, który grał w r. 1926. P. Samborski za to nie przeszkadzał tak Chlestakowowi, jak Zelwerowicz; trzymał się w drugim planie.

Tradycje świetnego powodzenia sztuk rosyjskich w Polsce dotyczą czasów, kiedy aktorzy (i widzowie) znali Rosjan i mieli oparcie dla wyobraźni w naśladownictwie znanych sobie typów. To im ułatwiało efekty i dodawało życia scenie. Tutaj większość artystów robiła wrażenie ludzi niezdecydowanych na to, czem mają być. Aleksander hrabia Fredro nie jest dokładną analogją, według której możnaby interpretować swoisty, południowy humor małoruski Gogola.

Z Fredry można wybrnąć stylizując według konwencji komedji francuskiej, Gogol zaś był naturalistą, więc bez specjalnego studjum obejść się tutaj trudno, zwłaszcza jeśli chodzi o typy prowincjonalne. Artyści nasi robili, co mogli, przypominając ssobie życie prowincjonalne z Bałuckiego i poszło ostatecznie nieźle. Najmniej ceremonji zrobił sobie tłumacz, biorąc z sobą Gogola do Warszawki XX w., aby go ubrać w tandetę, znoszoną w kabaretach.

Panowała więc na scenie mieszanina stylu Fredrowskiego i szyku Pociejowskiego.

Z. W.

„CZARUJĄCY EMERYT"

Krotochwila Wincentego Rapackiego (syna) p. t. „Czarujący Emeryt" wystawiona w teatrze Małym osnuta jest podobno na tle autentycznej anegdoty z życia pewnego znakomitego aktora. Ponieważ jednak przygoda owa wydarzyła się bardzo dawno, przeto przeniesienie jej w czasy powojenne — nie wyszło sztuce na dobre. Gdyby autor położył więcej nacisku na cechy autentyczne i gdyby utworek ten zagrano po staroświecku, pokazując nam na scenie typy *a la* Kostrzewski — kto wie, czy widowisko nie byłoby lepsze. Modność garniturów Jerzego Leszczyńskiego i toalet pań, występujących na scenie, kłóciła się niemiłosiernie ze stylem dowcipów, który przypominał dawne „Kolce". Dowcipy te wychodziły bardzo blado i nie robiły tego wrażenia, o jakiem niewątpliwie marzył autor, pisząc tekst krotochwili. Pomimo wspaniałego zespołu (Leszczyński, Czaplińska, Pancewiczowa, Frietsche, Modrzewska etc.) przedstawienie było nudne.

G.

ZMARLI

LEONARD STAHL

We Lwowie zmarł śp. Leonard Stahl, długoletni wiceprezydent tego miasta. Znakomity prawnik, szereg lat pracował w prokuratorji państw. we Lwowie. Na kilka lat przed wojną wybrany do Rady miejskiej, porzucił służbę państwową i całkowicie oddał się działalności społeczno-gospodarczej. Jako reprezentant obozu narodowego powołany do prezydjum Rady, kierował ważnemi działami gospodarki miejskiej i świetnym był reprezentantem miasta na zewnątrz.

W ogniu wojny, jako zakładnik w ręku rosyjskiem, spędził lata 1915 — 18 w Kijowie i tu jako członek lwowskiego Komitetu Ratunkowego oddał wychodźtwu i sprawie polskiej wielkie usługi.

W czasie walk Lwowa z hajdamakami kierował obroną miasta na stanowisku członka Komitetu Narodowego.

Po rowiązaniu Rady miejskiej przez „sanację" i wprowadzeniu komisarza, co Stahl boleśnie odczuł, odsunięty od zajęć, którym się z zamiłowaniem oddawał, pracował na polu społecznem do ostatnich chwil życia, które nadeszły niespodziewanie, pozornie bowiem robił wrażenie człowieka zdrowego.

Śmierć jego okrywa żałobą Lwów i obóz narodowy w całej Polsce. Ciosem jest dla najbliższej rodziny, a w szczególności dla dr. Zdzisława Stahla, docenta Uniwersytetu lwowskiego a naszego w „Myśli Narodowej" współpracownika.

Ze Stahlem zeszła ze świata jedna z najjaśniejszych postaci Lwowa, człowiek dla swej prawości i dobroci powszechnie szanowany i kochany.

ZYGMUNT SZANIAWSKI

Zeszła ze świata postać czcigodna śp. Zygmunta Szaniawskiego. Zmarł w sędziwym wieku w swoim Zegrzynku nad Narwią, doczekawszy się chluby z syna Jerzego, znakomitego dramaturga. Pracowity ten rolnik był siewcą ideałów narodowych i dzielnym organizatorem czynnej obrony w czasie niewoli. Wzorem był człowieka i obywatela.

* * *

Życiorys zmarłego uczonego śp. Ludwika Birkenmajera zamieścimy w przyszłym tygodniu.

NA MARGINESIE

Dzienniki „sanacyjne", nie odważając się stanąć otwarcie w obronie umowy polsko-niemieckiej tudzież ustępstw, poczynionych przez Polskę w sprawie likwidacji mienia niemieckiego oraz pozostawienia kolonistów niemieckich w b zaborze pruskim, wpadły na „dowcipny" pomysł. Oto skrzętnie, pod rzucającemi się w oczy tytułami, notują wszelkie objawy „niezadowolenia", z jakiemi umowa z dn. 31 października r. b. spotyka się w kołach nacjonalistów niemieckich. „Endecy idą ręka w rękę z nacjonalistami niemieckimi..."—mają dośpiewać sobie w duszy inteligentni czytelnicy prasy „sanacyjnej".

Gazety „sanacyjne" nie powiadamiają tylko przezornie, jaką treść mają w niemieckiej prasie nacjonalistycznej owe „krytyki", mianowicie, że domagają się one odzyskania przez Państwo Niemieckie przedwojennych jego granic na wschodzie. Gdyby Polska ofiarowała Niemcom np. Pomorze, nacjonaliści niemieccy byliby oczywiście głęboko „niezadowoleni", że „prastare ziemie pruskie" — Poznańskie i Górny Śląsk, pozostały pod panowaniem polskiem. A sprzedajni dziennikarze zachwycaliby się dalej triumfem naszej polityki, którego „najwymowniejszym dowodem jest wściekłość ogarniająca nacjonalistów, zarówno po tej, jak i po tamtej stronie granicy"...

*

Na zjeździe młodzieży „Odrodzenia", którą „sanacja" chciałaby rzucić na młodzież narodową, zjawił się jako reprezentant rządu i p. Prezydenta, minister rolnictwa Niezabytowski. I tak mówił:

„Chciałbym dodać kilka własnych myśli. Były w starożytności dwa miasta: Sodoma i Gomora. Były to miasta bardzo zepsute, a jednak Pan Bóg byłby im przebaczył, gdyby wśród ich mieszkańców znalazło się było chociaż 10 sprawiedliwych.

Życzę Panom, aby wśród was znalazło się tych 10 sprawiedliwych, którzy wytępią tę Sodomę i Gomorę, jaka obecnie jest w Polsce".

Panie ministrze! Sanacja w Sodomie i Gomorze była istotnie spóźniona. Ale przecież my mamy samych pułkowników 21 sprawiedliwych. Nie trzeba wątpić o miłosierdziu Bożem!

*

W czasie wojny namawiano Jerzego Clemenceau, aby nałożył kaganiec na prasę i wydał w tym celu ustawę. A ten, wzbraniając się, argumentował:

— Tam, gdzie istnieją takie ustawy, powoływani są do cenzurowania ludzie, którzy nigdy niczego nie czytali, bo tylko takim każde słowo opozycyjne będzie się zawsze wydawało niebezpieczne. A gdzież ja ludzi tego typu we Francji znajdę?

I nie wydał ustawy.

*

Powiadają, że nie mogąc się porozumieć, doszliśmy już do japońszczyzny. Oto dyskusja polityczna.

— Jak się przedstawia, panie ministrze, sytuacja polityczna kraju?

— Jako tako.

— Co nas czeka: republika czy monarchja?

— Ito Ito.

— A co z Sejmem?

— Mamgo tamgo.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administacji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich, Zielna 47, tel. 19-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.